

III nagroda w konkursie „Iskier”
na opowiadanie sensacyjno-kryminalne

... *Ewa wzywa 07...*



Anatol Ulman

POLUJĄCY Z BRZYTWĄ



Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Anatol Ulman

POLUJĄCY Z BRZYTWA



— Pani Lusi, niech mi pani pożycz trzy tysiące.

— Na przykład dlaczego?

Zawsze pytam klientki o wszelką przyczynę. One to lubią. To znaczy, lubią opowiadać.

Włożyła głowę w okienko mojej budki. Twarz zrozpaczona, jakby przed chwilą Zochna obejrzała w TV dwadzieścia odinków nieszczęść Stefanii Harper i jeszcze z dziesięć o Isaurze.

— Wszystko zabrał mi Kwartalnik — szepnęła z przerażeniem. — Pół godziny temu.

Przestałam łapać oczka w rajstopach doktorowej Gretz. Cieniutkich, paryskich, pachnących.

— Wiaż do środka — powiedziałam do Zochny Mimośród.

Po chwili siedziała we wnętrzu budki na bujanym fotelu, który trzymam dla opowiadających lub tych, które muszą zalać majty ekspresowo. Rozbeczała się dosyć głośno.

— Ile zabrał?

— Ponad osiemnaście. I fałszywe kolczyki podobne do złotych.

— I zerznął cię?

Kiwnęła głową i zaniósła się szlochem.

Przypatrywałam się Zochnie uważnie i chłodno. Cztery miesiące temu prawie podobną historyjkę wcisnęła mi Irena Czepigiska. W trzy dni wykryłam, że zrabowane przez Kwartalnika dwa pierścionki, bransoletę oraz dziewięćdziesiąt dolarów sprzedał w Poznaniu współżyjący z dyrektorem kierowca jej męża. Był drogim kochankiem, za cały ten szmal dał starszej kobiecie sześć miesięcy miłości.

— No, opowiadaj — zachęciłam Zochnę. — Pożyczę ci pięć, ale chcę znać szczegóły.

— Cholera — powiedziała Zochna płacząc. — Ten skurwysyn mnie zabije!

Mąż Zochny, kurduplowaty śmierdziel o żółtej skórze, żył ideą, że jego żona puszcza się z każdym mężczyzną, który mija ją na ulicy i przypadkowo spostrze-ga.

Koniuszki uszu Zochny nosiły ślad nagłego zrywania koleczyków. Płaszcz miała zapięty na niewłaściwe guziki, a rajstopy nie wygładzone po wciagnięciu.

— Na szóstą i siódmą lekcję — zaczęła — poszłam z dziećmi grać opadłe liście w parku Wielkich Bohaterów. Te klonowe, cholera, i z buków orzeszki. Wiatr piździł i wszystko roznosił po trawnikach. Puściłam klasę do domów. Gdybym, cholera, grabiła z nimi dłużej... Kwartalnik najpierw uchwycił mnie ręką pod gardło i powiedział: „Trzymaj cicho mordę, dzidzia, bo obetnę ci ucho”. Błysnął mi przed oczyma dziwnym, sinym nożem.

W tych dwóch ostatnich zdaniach zgadzały się aż cztery szczegóły: chwyt uniemożliwiający przerażonej ofierze wszelki krzyk, nie znana Zochnie brzytwa i pie-szczotliwy zwrot o dzidzi. Oraz ucho. Kwartalnik obciął już dwa.

— Po kolei — powiedziałam. — Przede wszystkim: gdzie?

— Pod tym dębem od ulicy Bliźniaczej. W krzewach śnieguliczki. Szłam dróżką, on zjawił się nagle, objął ramieniem mój kark i wciągnął pod drzewo. Wiatr, pusto, a ja zdretniałam ze strachu. „Kochana dzidzia” — powiedział i kopnął mnie kolanem w brzuch, bo nagle wierzgnęłam, choć nie chciałam wierzgać.

— Widziałas jego twarz?

— Twarz? Był w takim granatowym kominie na głowie. Z dziurami na oczy.

— A ubrany?...

— W ciemny płaszcz za kolana. Taki zwykły płaszcz. Na stopach adidas.

— Wysoki?

— Wysoki chyba.

— W stosunku do ciebie?

— Wyższy. Z dziesięć centymetrów. Niegruby. Muskularny.

Zochna miała tych centymetrów sto sześćdziesiąt sześć.

— Kolor oczu?

— Nie wiem. Wiał wiatr, latały liście i tylko latały liście.

Mogłam jej powiedzieć, co było potem. Kazał jej odwrócić się tyłem i dłońmi oprzeć o drzewo, gdyż nie było tam ściany żadnego budynku. Dotychczas działał w budynkach. I pochylić się, wypiąć pośladki.

— Potem zadarł do góry płaszczki, spodnicę, halkę — zapłakała znów Zochna. — I opuścił na lydki wszystko, co pod spodem. Nie czułam tego zimnego wiatru ani kropel deszczu. Cholera. Nie dałam nigdy nikomu oprócz mojego żółtka, a ten wziął sam. Cholera, jak długo on to robił. Jakbyśmy byli w łóżku i jutro była niedziela. Ale bez wyczucia. Potem przeszukał torebkę i spokojnie zabrał pieniądze. „Tanio płacisz za przyjemność, dziadzia” — powiedział. I kazał mi tak dalej stać z gołą pupą, póki nie przepowiem sobie po cichu „Ody do młodości” albo „Deszczu jesiennego”, albo „Zaczarowanej dorozki”. Dopiero potem mogłam się drzeć. Inaczej by wrócił i odciął mi ucho tym składanym nożem. A ja wtedy pamiętałam tylko „Pieśń panny dwunastej” i fraszkę „Na lipę”. Więc przepowiedziałam sobie po cichu i ubrałam się, bo po co krzyżeć na wiatr i jeszcze innym pokazywać siedzenie.

— I pobiegłaś na komendę?

— Nie, pani Lusu — rzekła stanowczo. — W żadnym wypadku. Gdyby się mój żółtek dowiedział, musiałabym umierać. I dzieciaki chyba pozabijać. Bo on mówi, że dzieciaki są nie jego. Jak na milicję, to dopiero gdy mnie zgwałcą po rozwodzie.

Już siedem razy omawiałyśmy jej hipotetyczny rozwód.

— Rozumiem — powiedziałam, gdyż wolno mi rozumieć. — A co, jeśli będą jakieś skutki tej miłości pod drzewem?

— Chytrze zdradziłam mojego żółtka — powiedziała ponuro Zochna. — Ledwo pod tym dębem skończyłam mówić wierszyki, zaczął mi się okres.

Pożyczyłam jej zielonego Szopena. Zostało mi czterysta złotych na tak zwane życie.

— Jeszcze jakiś szczegół o Kwartalniku, Zochno — poprosiłam. — Coś, co kobieta może zauważyć.

— Ma piękny głos. Taki aktorski. Mówi jak Łapicki. Sympatyczny głos skurwysyna.

Zmyłam jej rozmazany makijaż i zrobiłam nowy swoimi kosmetykami. Zochna była ładną pulchną blondynką, jak tułtejsze piękności. Okrągła, niewysoka, ze świeżą cerą, mimo że liczyła sobie już trzydzieści pięć lat. Byłaby podobna do mnie, gdyby nie to, że waży pięć pudów. Ale nie powiem, ile to jest pud.

— Przepytuje mnie pani jak detektyw — zaskoczyła nagle Zochna. — Niech pani złapie to bydłę i wypali mu oczy kwasem solnym.

Oczy kwasem. Nasunęło mi to pewną myśl.

— Za to, że ci obejrzał?

— Tak — potwierdziła.

Oczywiście nie jestem detektywem. Wielu łobuzów nie pozwoliłoby mi uprawiać takiego zajęcia. Prowadzę punkt repasacji wewnątrz Centralnego Domu Towarowego. Między stoiskami drewniana buda, a w środku pięć żywych pudów. Lubię zagadki i rozwiązałam już kilka. Pozostaję czasem na nieoficjalnych usługach u pań naprawiających pończochy, skarpety i rajstopy. Zochna Mimośród znała to moje hobby. Wykręłam, że jej pięcioletnia córeczka Kamila wypalała dziury w ubraniach ojca tłącymi się papierosami. Dziecko lubiło, gdy ojciec bił matkę.

Kiedy Zochna odeszła do swoich żółtych spraw, najpierw naprawiłam do końca fikuśne pończochomajtki doktorowej Gretz. Potem wywiesiłam na budce informację, że repasacja jest chora. Następnie uda-

łam się do gmachu Prokuratury Rejonowej. Wysoki parter, pokój dwanaście.

— Kwartalnik — powiedziałam wywoławczo. — Co słyhać u tego Don Juana?

— Czyżby cię dopadł? — spytał Tadek Kragajło. — I jesteś zazdrosna o inne?

Znałam Tadka ze studiów. On, oczywiście, uczył się prawa, a nie filozofii, tak pomocnej w naprawianiu babskich majtek.

— Odczuwam silną potrzebę fizycznego kontaktu z mężczyzną, i to wyłącznie od tyłu — powiedziałam poważnie. — Dlatego proszę o adres faceta.

— Ba — mruknął Tadek. — Ale to chyba człowiek niewłaściwy. Bo niezbyt wydolny. Dwanaście stosunków w ciągu trzech lat... Raz na kwartał.

— O tyłu wiecie?

— Niezłe pytanie — rzekł Tadek.

Siedzieliśmy w ciemnym, ponurym gabinecie prokuratorskim, w którym nawet patologia społeczna mogła się zniechęcić do życia.

— W sprawach o gwałt wiele poszkodowanych nigdy się do nas nie zgłasza. Nawet gdy przestępstwo połączone jest z drugim, z rabunkiem. Ale mieliśmy także delikwentki nigdy przez nikogo nie tknięte, które skarżyły Kwartalnika o utratę wianka. Wielokrotnie prolongowane dziewice. Pożądały zbliżenia pod ścianą i pod groźbą ostrej brzytwy. Kobiety lubią różne przyjemności.

— Co wiadomo o łobuzie?

— Dwie rzeczy: że jest mężczyzną i że wystrzeżę się schwywania.

— To wiecie, jak zwykle, dużo. A tak mniej dowcipnie: z zeznań dwunastu kobiet musiał powstać jakiś portret. Przecież jesteśmy takie spostrzegawcze, my kobiety, gdy chodzi o mężczyznę.

— Ścisła tajemnica urzędu prokuratorskiego oraz śledztwa, obywatelko — odpowiedział. — Ale mogę zdradzić: przestępca ma zawsze na głowie dziurawy rękaw. Można go po tym łatwo rozpoznać. W rękę natomiast trzyma ostre narzędzie. W narzędziu tym cztery panie rozpoznały brzytwę, a pozostałe widziały szablę, nóż ogrodniczy, dłuto rzeźbiarskie, sierp, a nawet szpikulec do szaszłyków oraz turecki

miecz. Wedle swojej wiedzy. W każdym razie facet lubi się golić na sposób staroświecki. Trzeba szukać dobrze ogolonego, ale raczej młodego, sprawnego mężczyzny.

— Ty jesteś dobrze ogolony, prokuratorze — powiedziałam.

— Dlatego nie wykluczam i siebie wśród podejrzanych.

— A serio?

— Nawet nie przypuszczasz, ilu ludzi i z jaką pasją bez przerwy w tym tkwi. Dopadniemy go.

— A tymczasem zapłodni jeszcze z tuzin bab. I to nie za darmo.

— To ty go złap! — rozwścieczył się Tadek.

— Zamierzam — stwierdziłam zimno. Dopiero wtedy zrozumiałam, że już prowadzę śledztwo. Machinalnie złapałam się za uszy. Mam bardzo ładne malutkie uszka. Nie chciałabym się ich pozbyć.

II

Na prokuraturę oraz milicję nie tylko nie mogłam liczyć, ale przede wszystkim musiałam się ich wystrzeżać. Wyobrażam sobie miny różnych urzędowych typów, gdybym zjawiła się w Urzędzie Spraw Wewnętrznych i rzekła: Proszę o licencję prywatnego detektywa, moje nazwisko Filippina Marłow.

Mogłam natomiast we wszelkich planach uwzględnić moje klientki. Zasiadałam w budce przy robocie i każdą indagaowałam bezczelnie o nazwisko którejsz ofiar Kwartalnika. Już piątego dnia blada dziewczyna, która przedstawiła się jako „mów mi Zazi”, wykrzyknęła z zadowoleniem:

— On obciął ucho Sylwii Narzynkowicz!

Dlaczego się miała nie cieszyć, chodziło o cudze ucho.

Załapałam oczka w trzech parach jej rajstop i dostałam adres Sylwii. „Mów mi Zazi” przekazała również informację, że

kobieta bez ucha jest kontraktowa. To znaczy, że żyje ze starszym człowiekiem za trzy tysiące złotych dziennie. Pięć lat umowy, pięć milionów. Bardzo droga dziwka.

Do Sylwii Narzynkowicz zadzwoniłam ze stoiska chemicznego. Dziewczyny mają tam telefon i nie są ważne.

— Nazywam się Luśka Nanercz — powiedziała. — Zawodowo naprawiam rajstopy i pończochy, ale...

W słuchawce zatrzeszczało i kobiecy głos odrzekł:

— To naprawiaj dalej, dobra kobieto. I nie zawracaj dupy.

— Słuchaj, damski palancie! — wrzasnęłam. — To chodzi o twój interes!

— No dobrze — powiedziała z niechęcią. — Chcesz mi, babo, zacerować czy co?

— Chcę urządzić Kwartalnika.

— O rany — ucieszyła się. — Utniesz mu?

— Utnę.

— Niech najpierw stanie pod ścianą i opuści spodenki. A ty ciach!

W końcu zgodziła się na rozmowę.

Mieszkała na Agrestowej w wysokiej willi, której tynki zdobiło kolorowe tłuczone szkło. Kawał drogi od autobusu. Ale ona nie jeździła autobusem, miała zbyt cenny tyłek. Udałam się tam wieczorem. Zielone i niebieskie szkło lśniło upiornie w blasku neonowej lampy. Majątku za żelaznym płotem pilnowały dwa głupie, olbrzymie psy. Bałam się, że ze wściekłości zjedzą stalowe sztachety, a potem zatopią mordy w moim delikatnym sadle. Zawołane odbiegły jednak potulnie.

Sylwia Narzynkowicz była szczupła, niewysoka, bardzo smutna i dosyć pijana. Pomyślałam, że Kwartalnik nie lubi takich.

— Co tak patrzysz? — wybełkotała, kiedy już usiadłam w living-roomie. — Też byłam okrągłą babką przy kości. Ale wykończył mnie ten mój, zardzewiała rura kanalizacyjna.

W ten sposób zrobiła aluzję do zawodu człowieka, z którym spała za milion rocznie. Facet prowadził warsztat hydrauliczny. Z rur kanalizacyjnych ciekło płynne złoto. Potem przypomniała sobie, po co

przyszłam, i patrząc krytycznie powiedziała:

— Wiesz co, tłuściochu, ja od tego mojego nypla przeżartego rdzą pożyczę gwintownicę i ty nagwintujesz Kwartalnikowi, jak go spotkasz. No bo co ty mu więcej możesz?!

— Niech mnie diabli — zauważyłam. — Ty, Sylwia, masz oboje uszu!

— A które prawdziwe, cio? — spytała dziecinnie i zrozumiałam, że rury doprawiły jej ucho amerykańskie, może nawet lepsze od prawdziwego.

Sylwia Narzynkowicz bardzo źle urządziła się w życiu, choć miało to być bardzo dobrze. Zamiast za pięcioletnie przywiązanie do sześćdziesięciolatka wziąć forszę z góry, lub przynajmniej zabezpieczyć ją dla siebie w trzecich rękach, umówiła się, że wypłata nastąpi po wykonaniu miłości. A staruszek zakochał się w dziewczynie i nie chciał, by po pięcioletce odeszła. W tym celu wstrzymał wypłatę uczciwie zarobionego wynagrodzenia. Lekko bredząc Sylwia bez przerwy zaznajmiała mnie z okrutnym postępowaniem hydraulika. Z wielkim trudem wypytałam ją o przebieg gwałtu.

Kwartalnik ciachnął jej ucho, gdyż nie chciała płacić za wykonaną usługę. Powstał spór o gruby złoty łańcuch z wisio-rem, zdobnym w duży szafir.

— Dałam mu ciała, bo ono nie było moje tylko rurarza, co je kupił do używania. Ale płacić za miłość pod ścianą w korytarzu moim złotym łańcuchem? Ja?

Kwartalnik zmusił ją do współżycia w charakterystycznej pozycji pod ścianą lokalu, w którym mieszkali jej rodzice.

— Mamy o mało szlag nie trafił, kiedy się dowiedziela, że prawie na jej oczach ktoś za darmo wziął sobie to, co mama na kredyt sprzedawała temu mojemu wodno-gazowemu śrubunkowi.

Beknęła nieelegancko, jakby znajdowała się w piwiarni przy targowisku, a nie w szykownej willi, podobnej do pałacu idioty. Z mściwym spojrzeniem powiedziała po chwili:

— „Nic za darmo”, śmiał się ten bydlak złodziej. „Nic za darmo, Sylwia”.

— Powiedział „Sylwia”?

— Może powiedział, może nie. Może powiedział „dzidzia”?! A wiesz, nie był lepszy od starego.

— To ważne, czy zwrócił się do ciebie po imieniu. Zastanów się.

— Zastanowię się — czknęła niedyskretnie. — To było tak: on mnie przyciągnął w ciemności. Bo starzy mieszkają na czwartym, ostatnim piętrze w tym bloku, a włącznik oświetlenia znajduje się ze trzy metry od drzwi. Mojej mądrej mamie zawsze przeszkadza przeciąg i zostawiła mnie w ciemnym korytarzu. Ale wiem od dziecka, gdzie umieszczono włącznik. Szłam tam z wyciągniętą ręką, a on uchwycił mnie za szyję i chichocząc powiedział: „Nie krzycz, Sylwia!” Nie. On powiedział: „Nie krzycz, dzidzia, a ja ci za to zrobię dobrze, dzidzia”.

— Czy na czwartym piętrze, w razie czego, można uciekać do góry?

— Nie. Wejście na dach od wieków zamknięte jest na kłódkę.

— Gdyby szedł do góry jakiś mężczyzna... — powiedziałam.

— Mężczyzna — prychnęła. — Musialoby iść całe stado, a w nim jeden odważny. Przecież ten złodziej nie przestał tego robić, gdy ktoś na dole włączył światło. Ktoś, może nawet dwie osoby szły do góry, chyba na drugie piętro, a ja się modliłam, żeby nie szli wyżej, bo bandzior obiecał, że podetnie gardło, jeśli coś...

— Wszystko odbyło się w ciemności?

— Tylko przez jakieś dwie—trzy minuty w świetle, kiedy tamci, idący z dołu, zapalili. Pochwalił mnie wtedy. „Masz ładną pupkę, dzidzia” — tak powiedział. Kiedy skończył swoje, już po ciemku, obmacał mi dłonie, a trzymałam je bez przerwy na ścianie, i zdjął pierścionki. Cztery, ze złota. Ale krew mnie załaza dopiero, kiedy odkrył łańcuszek na mojej szyi. Bo pierścionki to ten mój dwucalowy trójnik mógł mi nowe kupić. A takiego łańcucha już nigdzie nie znajdziemy, był z Cejlonu, gdzie herbatę robią. „Zarżnij, a nie dam” — powiedziałam i też uchwyciłam jedną dłoń. A on wymacał ucho i szybko odciął. Nie czułam bólu, tylko że cieknie. „Drugie też?” — spytał. I za-

częłam się bać. Wziął łańcuch i kazał po cichutku mówić wiersz „Grób Agamemnona”. Cicho, tak jakoś lekko, zbiegł na dół w mroku.

— Dlaczego ten wiersz?

— Pytał, jakie pamiętam ze szkoły. A ja umiałam ten.

— Zauważyłaś może jakiś szczegół?

— Kiedy? Gdy zapaliło się światło, tańczył ze mną, pracując tym wiertłem udarowym.

— A głos?

— On powinien w telewizji, w teatrze robić. Albo spowiadać. Tak serdecznie, ciepło mówił. Pełna miłość i zaufanie. Gdyby mnie oficjalnie podrywał chłop z takim głosem, za darmo bym mu dała, i to nie raz. Ale głos był przytłumiony, jak przez szmatę. Teraz wiem, że to przez tę maskę, co miał ją na gębie.

— W jakim był wieku, jak sądzisz?

— Młody — rzekła z pewnym entuzjazmem.

— Z czego to wnosisz?

— Ze zwinności. Ale głównie z powodu energii, z jaką to robił. — Zastanowiła się. — Ja myślę, że on to miał ze mną dwa albo trzy razy. Bo nagle wcisnął mi łapy w rękawiczkach w biodra, zamarł i po paru sekundach podjął trud na nowo. Młody i silny. Działał bez wytchnienia. Nie to, co mój, złączka całowa. Ale nie miałam w tych warunkach satysfakcji. Napijesz się?

Kiwnęłam głową. Nie byłam na służbie. Sylwia nie certowała się, koniak przyniosła w szklance. Prawie pełnej. I kwintał solonych orzeszków ziemnych w ogromnej kryształowej wazie, w której się chyba zwykle kąpała. Sama trąbiła wprost z butelki.

— Ja wiem — stwierdziła mrużąc chytrze oko. — Ty jesteś z gazety. Opiszesz, żeby dziewczuchom zapalało się w majtkach z samego czytania. Znasz doktorową Gretz?

— No — potwierdziłam ostrożnie.

— Ta stara baba od tamtej pory, kiedy jej opowiedziałam, wieczorami obwiesza się połową swojej biżuterii, wyciąga francuskie desusy i lata po ciemnych klatkach schodowych. Kwartalnik musiałby niedo-

widzieć, żeby się do niej dobrać. Emerytka.

Doktorowa była szczupłą damą po czterdziestce i po ciemku mogła się podobać, moim zdaniem. Nie była jednak w typie gwałciciela, jeśli sądzić po trzech znanych mi przypadkach.

— Ty wiesz — zabełkotała Sylwia. — Ja niedawno nakryłam babcię Gretz na tej klatce, gdzie mi to zrobił. Stała pod kaloryferem, na którym bydlak położył moje odcięte ucho. Daje głowę, że stała z opuszczonymi rajstopami. Czekala.

Nie powiedziałam Sylwii, że naprawiam, być może, właśnie te rajstopy. Sięgnęłam po garść orzeszków. Zeżarłam ich już z pięć kilogramów.

— Właściwie... — zauważyła Sylwia. — Właściwie ten oprawca podobny był do jednego milicjanta.

Podskoczyłam z wrażenia.

— Pokazywali nam ośmiu milicjantów, ubranych w takie jakieś płaszcze i z bawełnianymi rurami na głowach. Jeden był podobny. Zasłonięty, a widać, że przystojny. Wysportowany, prosty.

— Powiedziałas „nam”?

— Bo była jeszcze wtedy Grażyna Turlupaj. Ją też załatwił. Ale ona oddała mu wszystko bez gadania. Platynowe kolczyki. Spinę z samych szmaragdów. Ciężką bransoletę. Co jej tam. Tatuś ubrał ją zaraz w nowe brylanty.

Szymon Turlupaj jest znanym w mieście złotnikiem. Facetem o nieposzlakowanej nieuczciwości. Siedem miesięcy temu moja klientka Stefania Ostrużyńska „uszczipiła” go na pięćdziesiąt kawałków. Bo on ją najpierw na pięć. „Pani Stefania” — powiedziałam do niej zupełnie przypadkowo ze swojej budki, z której zawsze dobrze widać twarz oraz biust klientki — „ten pani łańcuszek z krzyżkiem skurczył się w praniu czy jak? Dawniej sięgał do trzeciego guzika tej samej bluzki”. Ostrużyńskiej również się wydawało, że łańcuszek krótszy. Mogło się to wiązać z faktem, iż był niedawno lutowany u Turlupaja po przerwaniu się ogniwa. Podkręciłam ją, by umyślnie przerwała i zaniósła do złotnika inny łańcuszek, który niedawno kupił jej mąż na

dworcu Keleti w Budapeszcie. Przedtem drugi łańcuszek został dokładnie zważony w zaprzyjaźnionej aptece oraz zmierzony. Turlupaj i ten skrócił o trzy i pół centymetra. Złapany na brzydkim uczynku bez słowa zaproponował pieniężną rekompensatę. Ostrużyńska przyjęła pieniądze, potrzebowała automatycznej pralki.

— Znasz dobrze tę Grażynę? — spytałam.

— Nie — powiedziała Sylwia. — Ale starego Turlupaja zna ten mój zawór kanalizacyjny.

Milionerzy muszą się znać.

Podziękowałam Sylwii za przychylny stosunek do nieprawomocnych detektywów prywatnych.

— Napisz w gazecie — powiedziała na koniec — że zwyrodnialec Kwartalnik sprawił ofierze Sylwii N. taką frajdę, jakiej nie zaznała z typem, z którym musi żyć. Nazwisk i tak nie możesz podać. Już ja podsunę gazetę temu mojemu śrubstakowi!

Checiała mnie odwiedzić do domu, ale sama rozumiała, że jest podcięta.

— Tam jest moje volvo — wskazała na garaż z ganku. — Ale ten mój wodomierz zapomniał przepisać je na mnie. Zapomniał.

Byłam jej wdzięczna, więc udzieliłam porady:

— Wyjdź za niego oficjalnie, a potem dostaniesz połowę wszystkiego na rozwódzie. A jako ślubna możesz go odsunąć od łoża. Nasze damskie sądy nie krzywdzą wyzyskiwanych kobiet.

Natychmiast otrzeźwiała, błyskawicznie odzyskała radość i mocno ucałowała mnie w czoło.

III

Jeszcze tego wieczoru przez moment sądziłam, że przypadek mi sprzyja, a śledztwo się kończy. Ledwo bowiem w listopa-

dowym deszczu wylazłam z ogrodów i pałacyków i skręciłam ku światłu sodowej lampy nad przystankiem autobusowym, ktoś położył mi łapę na ramieniu.

— Tylko cicho — zwrócił się do mnie młodzieńczym głosem. — Moja godność Kwartalnik.

Natychmiast odwróciłam ku niemu twarz. Głowę miał owiniętą szalikiem i okrytą kapturem. Za nim, w głębokim mroku, usłyszałam jeszcze inne oddechy ludzi zemocjonowanych sytuacją. Wzmógł się przykry, zimny deszcz.

— Gówniarz! — mruknęłam. — Jutro zmień sobie buty, spodnie, kurtkę i szalik, bo cię rozpoznam.

Zamierzałam mu wyjaśnić, jak nienormalną mam pamięć do różnych szczegółów, ale chłopak nagle znalazł się przede mną i mocno rąbnął łokciem poniżej mostka. Zatkana nagłym bólem, pochyliłam się w unizonym skłonie niby uprzejma gejsza. Byłabym upadła, gdyby nie schwytał mnie za kołnierz płaszcza, a potem pod pachy. Był silny, ważył pięć pudów. Z pomocą jego kolegi zostałam ustawiona na małej bocznej ścieżce pod siatką ogrodzeniową jakiejś posesji.

— To czołg nie kobieta — powiedział obrzydliwie drugi chłopak.

— Bardzo lubię tłuste kiełbaski grubaski — rzekł pierwszy. — Nawet nie wiesz, jaką one mają gładką skórę.

Byłabym mu podziękowała za galanterię, gdyby nie to, że mdliło mnie od ciosu, a zza ogrodzenia szedł przykry zapach gnijących łodyg i liści. Pozwoliłam, by rozpiął mi płaszcz.

— Krowa — usłyszałam trzeci głos. — Ale krowa. Grubsza od Makolągwy.

Dziewczyna niewątpliwie mówiła o mnie. Wstrętna, głupia nastolatka.

— Ma cztery cycki, mówię wam. Cztery długie cycki — ciągnęła dziewczyna głosem pełnym nienawiści.

— To się jeszcze okaże — rzekł chłopak, który pierwszy mnie zaczepił. I wprawdzie, z pewną dbałością, by nie niszczyć, rozpiął mi bluzkę. Biustonosz jednak ściągnął ku dołowi gwałtownie, przysparzając mi bólu.

— Dwa! Normalne dwa cyce, napęcz-

niałe od smalcu, jak u każdej grubaski — zaśmiał się z tryumfem.

Obnażając biust pomógł mi. Kaśliwy deszczyk przywracał przytomność i łagodził poudzierzeniową zadyszkę. Przyjrzałam się dziewczynie, która ustawiła się niebacznie w odbłasku oświetlonego okna domu w ogrodzie. Nadmiernie chuda, ale bardzo ładna. A może tylko noc, deszcz, słabe światło i mocne barwy kosmetyków powodowały urok. Jej oczy pełne były wściekłości.

— Te drugie dwa dydki ma nizej — stwierdziła nieustępliwie. — Pod brzuchem, jak każda krowa.

— Ona ma tam maślaną bułeczkę — bronił mnie pierwszy chłopak. I sięgnął dłonią w kierunku mojego brzucha, by uchwycić pasek spodnicy.

— Moje słodkie tłustości — powiedział gładząc mnie po łańdzie, z której nie jestem dumna. Ale też nie pokazuję jej publicznie z własnej woli. I już nic więcej sensownego nie powiedział, nagle bowiem wymierzyłam mu podziękę za czułości swoim mocnym kolanem. Stał przede mną z rozstawionymi nogami, więc cały pęd mojej niemalutkiej nogi wyhamowany został na jego kroczu. Jeśli możliwe jest, że miałam czas, by spokojnie go potem oglądać, to widziałam skaczącego po ścieżce kangura, któremu urwano męskość. Wył jednak jak człowiek.

Drugi chłopak odbiegł z przerażeniem. Tylko dziewczyna okazała się nieustraszona i lojalna.

— Ty krowo nowozelandzka — powiedziała z pogardą i rozczapierzając dłonie rzuciła się ku mnie, by drapać chudymi rączkami.

Machinalnie zrobiłam to, co zawsze, gdy ktoś leci na mnie w nieprzyjemnych zamiarach. Splotłam palce obu dłoni i wystawiłam ręce przed siebie. Kiedy dziewczyna znalazła się blisko i prawie dotykała moich dłoni, z całą siłą, zdecydowanym ruchem podniosłam je do góry. Napastniczka dostała cios w podbródek i padła z jękiem jak długa. Podciągnęłam biustonosz i zapięłam bluzkę. Wszystko było zimne i mokre.

Oczywiście nie uczęszczałam nigdy na kursy karate i nie ćwiczyłam kung-ulunga ani ping-ponga czy innych wschodnich oraz północnych metod łamania nieprzyjaciółom kości. Moje pięć pudów nie aproboowało takiego wysiłku. Znałam jedynie przypadkowo trzy uderzenia w samoobronie i sprawdzalną zawsze zasadę: nie bój się nigdy, bądź szybka i chłodna.

Odeszłam z przykrą myślą, że Kwartalnik nieświadomie gromadzi zwolenników. W domu, jak zwykle po przeżyciach, sporo czasu poświęcałam posiłkowi. Zrobiłam sobie ugotowaną uprzednio fasolę po staropolsku. Z boczkami, suszonymi śliwkami, rodzynkami i miodem.

Następnego dnia, w kwadrans po otwarciu mojej budki, plutonowy milicji wręczył mi wezwanie do urzędu. Miałam się stawić prawie natychmiast, bo za pół godziny. W charakterze świadka, ale charakter jest rzeczą zmienną. Do diabła, pomyślałam, czyżbym zgruchotała słabowitą szcękę tej chudzinie wczoraj albo spłaszczyła chłopakowi ledwo co rozwiniętą męskość?

W smutnym pokoju numer sześćdziesiąt dziewięć Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych siedział podstarzały kapitan. Nie objawił zachowaniem, iż ma zaliczone elementarne kursy uprzejmości. Przedstawiłam się, dygając wdzięcznie jak dziewczątka z dawnych lat. A on, nie patrząc, powiedział sucho:

— Siadajcie, obywatelko.

— Siadamy tedy — potwierdziłam.

Nastało milczenie. Ponad dziesięć minut smarował coś na małych kartkach i pojęłam, że powinienam w tym czasie skruszeć.

— Już jestem przestraszona i chętna do współpracy — oznajmiłam mu w dwunastej minucie. Odłożył tamte kartki i wziął w łapę jakiś formularz.

— Jak się nazywacie, obywatelko?

— Nazywamy się Luśka Nanercz.

— Taak — rzekł, jakby posiadanie mojego nazwiska było karalne.

— Wiek?

— Wiek jest dwudziesty — wyjaśniłam. — Nie uchwalono żadnych zmian w tej kwestii.

Błada twarz kapitana dostała trochę koloru.

— Kiedyście się urodzili, obywatelko?

— Urodziliśmy się trzydzieści dwa lata temu w pogodny cichy wieczór majowy.

— Ostatecznie — oświadczył — jest tak w przepisach, że kto ośmieszona urzędnika lub funkcjonariusza państwowego podczas wykonywania służbowych czynności, podlega karze aresztu albo grzywny. Dlaczego tak się zachowujecie, obywatelko?

— Nie wiemy — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — To chyba nastrój tego miejsca. Bo można stąd powędrować do lochu, prawda? Albo na szafot. Czy u nas gilotynuje się zbrodniarzy?

Nie wyjaśnił tej kwestii. Kazał podać sobie mój dowód osobisty i wypisał z niego potrzebne informacje. Został wybity z rutyny. Spytał jeszcze o wykształcenie i miejsce pracy. Wy tłumaczyłam, że jestem magistrem filozofii, absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego.

— Magister znaczy mistrz — dodałam. — Wiedzę tę zużywam przy repasacji rajstop damskich zgodnie z najlepszą wolą. O czyją wolę chodzi, nie mam pojęcia. Los swój uważam za szczęśliwy.

— Nie wiedziałem, że magister znaczy mistrz — odrzekł kapitan, nie wiadomo czy serio. — Ja też jestem magistrem. A poza tym czym się zajmujecie?

— Zajmujemy się porannym i wieczornym myciem, przyrządzaniem posiłków, praniem, czytaniem, rozmyślaniami. Czy mamy powiedzieć także o naszych zajęciach intymnych?

— No dobrze, pani Nanercz — zgodził się nagle. — Nie chce pani być obywatelką. Ale niech pani wyjaśni, dlaczego zajmuje się nie swoimi sprawami?

— Lepiej od razu sprecyzujmy pojęcie nie swojej sprawy — odpowiedziałam. — Pamiętając oczywiście, że człowiek powinien reagować na wszelkie przejawy zła. Jeszcze wczoraj do takiego reagowania nawoływało w telewizorze aż pięciu tyków. I forszę wzięli za to nawoływanie.

Przesłuchujący znów dostał nie swoich barw. Rzekł jednak z groźną przyganą:

— Niepotrzebnie wtrąca się pani

w śledztwo prowadzone przeciwko poważnemu przestępcy!

— To już doszło do was? — spytałam. — Która z pań żon doniosła? Proszę o nazwisko! Za karę będzie latać po mieście z dziurawymi majtkami!

— Doszło do nas, dojdzie i do przestępcy — powiedział chytrze.

— I w tym rzecz.

— Aaa — westchnął. — Pani zamierza go zdenerwować swoim wkładaniem nosa w jego kryminalną działalność. I spodziewa się, że przestępca przyjdzie pani podziękować, a pani go wtedy cap! Złapie w majtki i dostarczy na ławę oskarżonych?!

— A co? Byłoby źle?

Kapitan dosyć długo cierpliwie tłumaczył, że przestępca może mi uciąć wszystko, co kobiecie wystaje, i że władza nie poniesie odpowiedzialności za damską głupotę. A jeszcze przymknie.

— Do diabła! — wrzasnęłam. — Nie można nikogo pudłować za to, że chce wykryć przestępcę, aby poniósł odpowiedzialność!

— Tak — potwierdził. — Ale można za utrudnianie śledztwa.

— Nie będzie łatwo o taką kwalifikację!

— Oto jak jest — rzekł brutalnie — kiedy baba nie ma się czym zająć. Dlaczego nie skupi pani swej niewyżytej energii raczej na poszukiwaniu jakiegoś chłopa na męża?

— O! — krzyknęłam, chcąc zrobić kwestię. Doszłam jednak do wniosku, że lepsza będzie inna taktyka.

— Zgoda — powiedziałam miękko i w miarę uroczo. — Proszę się ze mną ożenić. Pokochałam pana nagle i mocno.

Pochylił się konfidencjonalnie przez biurko i spytał cicho, jakby podsłuchiwała nas milicja:

— Dlaczego? Co panią kieruje?

— Powiem panu, kapitanie, jak narzeczonemu. Tylko niech pan wyłączy ten zasrany magnetofon. Bez przerwy jakieś pstrykania. Kupcie włączniki cichobieżne, są takie.

Pstryknął.

— Byłam pierwszą albo jedną z pierwszych dziewczyn, którym Kwartalnik to

zrobił. Za piątą. Tyle miałam w torebce.

— Pani kłamie?

— Nie. Trzy lata temu. I niech pan nie czepia się, dlaczego nie przybiegłam do władzy ze świeżo przedziurawionym siedzeniem. Do śledztwa nic bym nie wniosła, a po co opisywać dramat mojego tyłka. A gdyby zaszła konieczność wrócenia do tej sprawy, wyprę się. I co?

— O kur... — powiedział, ale nie okrąglił wyrażenia. I po chwili milczenia skomentował: — Zemsta nie jest dobrym motywem działania.

— Zemsta? — zdziwiłam się. — A przypuścimy, że po prostu nie chcę, aby dalej to robił!

— Niech mi pani opowie o tamtym przypadku.

— Pan prowadzi tę sprawę?

— Powiedzmy, że nie.

— Jeśli pan również coś powie. O nim.

— Nie mogę.

— Wie pan, co on mówi babom: nic za darmo.

Niemniej pouczył mnie, że organy wymiaru sprawiedliwości nie będą tolerować żadnej partyzanckiej działalności w tej i podobnych sprawach.

Kapitan Karol Małgorzatkan.

Tak się przedstawił, gdy na odchodnym, podczas podpisywania przepustki, zauważyłam, iż nie ukrywałam personaliów. A on może, spytałam, jest tym słynnym, Ewa Zero Siedem?

IV

Tego samego dnia po południu odwiedziłam złotnika Turlupaja.

Ze czterdzieści minut czekałam na moment, w którym w pracowni nie będzie nikogo oprócz starego i oczywście psa. Olbrzymi buldog, z gębą godnego szacunku senatora, warował na wystawie warsztatu prawie przez całą dobę.

— Jestem dziennikarką — przedstawiłam się.

Turlupaj spojrział twardo i potrząsnął siwą grzywą.

— Nie potrzeba — powiedział bardziej nieprzyjemnie, niż gdy inni mówią: won!

— Chciałabym w zasadzie z córeczką, z Grażynką.

— Nie ma! — warknął.

Uśmiechnęłam się promiennie.

— To ja wiem. Mam propozycję, żeby pan ją sprowadził na wywiad ze mną.

— Agat — powiedział Turlupaj do buldoga. — Pośmiej się, piesku, z tej prześniętej panią.

Najkomiczniejsze było to, że pies po zezwoleniu rzeczywiście obnażył kły w szerokiej i czarnej jak charakter Turlupaja mordzie. Śmiał się.

— Agat — powiedziałam do psa. — Ty się bardziej uśmiejesz, kiedy napiszę, w jaki sposób pan Turlupaj podwędza klientom nie takie znów drobinki złota. Przyślę ci ten numer gazety, Agat, chcesz?

Pies patrzył pytająco na złotnika. Miałby co ze mnie oderwać, gdyby jego szef wyraził życzenie.

— Piesku — rzekł Turlupaj — zobaczysz, jak wiekowe paniąki odszczekują pomówienia w sądzie.

— Ty, Agat, postaraj się w tym sądzie o dobre miejsce — poradziłam psu. — Żebyś zobaczył na przykład niejaką Ostrużyńską, bardzo dobrego świadka. I jeszcze panią...

— E — przerwał Turlupaj. — Dużo nazwisk, dużo zamieszania. A Grażynka po co?

— Chcę od niej trochę wiedzy o Kwartalniku.

— Grażynka nawet nie słyszała o takim panu — powiedział Turlupaj obojętnie.

— E — westchnęłam. — Ale przekazała mu w uznaniu wysokiej jakości wykonanych przez niego usług dwukilogramową szmaragdową spinkę, dziesięciokilogramową bransoletę ze złota, platynowe drobiazgi.

— Ile? — spytał zimno Turlupaj. — Ty gruba spryciaro. Nie chcę nic w gazetach o kimkolwiek z moim nazwiskiem.

— Chcę tylko porozmawiać, panie złotniku. I mogę obiecać, że nigdy nie wy-

mienię publicznie tego godnego najwyższego szacunku nazwiska. Ja szukam Kwartalnika.

— Znajdziesz go, cwaniaro, czego ci życzę — rzekł Turlupaj. — A z Grażynką w niedzielę o piątej po południu, tutaj.

Córka złotnika musiała przyjechać aż z Warszawy, gdzie pobierała nauki na studium języków obcych.

— Spryciaro — powiedział Turlupaj, gdy zjawiłam się u niego w niedzielę. — Ty nie robisz w gazecie. Ale ci wybaczam.

Zostałam wpuszczona tylnym wejściem do wielkiego domu, w którym od ulicy Turlupaj miał pracownię złotniczą. W życiu nie widziałam fortecy lepiej zabezpieczonej przed złodziejami. Dębowe drzwi, o prawie półmetrowej grubości, zabezpieczona od wewnątrz błyszcząca stalowa płyta. Okucia, kraty, potężne zamki, urządzenia elektroniczne strzegły złota i kosztownych kamieni klientów. Oczywiście nie przed złotnikiem.

Turlupajówna przyjęła mnie w swoim pokoju na pierwszym piętrze. Wyciągnęła dłoń w przyjaznym geście i bezpośrednio okazała się do końca wizyty.

— Ojciec mówił, że jest pani śmierzącym jajkiem w tłustej skorupce i żebym piekielnie uważała. A z pani taki miły pulpecik.

— Pulpet — sprostowałam. Patrząc na Grażynkę Turlupaj, wiedziałam już, że Kwartalnik uznaje tylko jeden typ kobiet; pulchne, niewysokie blondynki z ładną cerą. Jeśli czyni wyjątki, to jedynie dla tłustych blondynek o tej samej urodzie.

Dowiedziałam się szybko, że Grażynka studiuje języki zachodnie, aby rozumieć, co będą mówili o niej na Wyspach Kanaryjskich czy w Hawanie, kiedy tam oczywiście zawita. I co powiedzą w Plymouth czy w Bordeaux.

— Moje poglądy są proste — wyjaśniła, jakby miała konieczność posiadania poglądów. — Ojciec nie żyje z biedaków.

Uśmiechnęła się. Wyglądała, jak pięknie polichromowany anioł barokowy.

— To ojciec zrobił tragedię z historyjki z Kwartalnikiem. Wiesz — przeszła na ty z wielkim wdziękiem — ja tego dnia miałam dwu chłopaków. A wiesz, co my-

ślałam, kiedy on tam męczył się za mną? Ze szkoda, że nie jestem jedną z tych bab, co przywożą syberyjskie złoto, grube pierścienie pochowane przed celnikami w tej kieszeni pod brzuchem. Wyobraziłam sobie, że biedny Kwartalnik trafia właśnie na twarde rubiny, na ostre krawędzie złotych krążków. I zaczęłam się śmiać. Ten bidula, spięty przecież, bo zawsze mogą go złapać, mordować się z tyłu, a ja ryczałam ze śmiechu, to znaczy nie za bardzo głośno, bo groził nożykiem, tylko tak trzęsłam się i podrygiwałam. A te rajstopy spuszczone mi na łydy, czy to nie zabawne?

Gwałtu na niej oraz rabunku dokonał Kwartalnik w piwnicy bloku przy ulicy Chochlika. Zagarnął ją ramieniem i ścisnął szyję, sprowadził z parteru na dół. Zademonstrował ostrość brzytwy przecinając skórzany pasek, który nosiła dla ozdoby. Szła do koleżanki, bywała u niej często.

— Najbardziej denerwowały mnie ubrudzone dłonie. Organicznie nie znoszę suchego na nich brudu, zwłaszcza kurzu. A musiałam stać twarzą do ściany i rękoma dotykać powleczoną kredą powierzchnię. A że się jednocześnie śmiałam, to dłonie mi się trochę poruszały i obrzydliwie tarły o tę suchość. Bałam się szczurów. W takich piwnicach bywają całe masy szczurów. Najbardziej, kiedy on już odszedł, a ja powtarzałam angielskie czasowniki nieregularne. On mi kazał mówić satyrę „Żona modna”, bo kiedyś się jej uczyłam na pamięć. Ale to nie miało sensu. Wolałam powtórzyć te czasowniki i bez przerwy myślałam, że szczury mogą mnie ugryźć w goliznę. One potrafią wysoko podskoczyć, jak trzeba. Całe szczęście, że zostawił światło zapalone.

— Widziałaś go dobrze w którejś z sytuacji?

— Kiedy odchodził, zerknęłam, bo mógł wypłoszyć szczury z zakamarków. Jest wysoki. Między metr siedemdziesiąt pięć a osiemdziesiąt. Chodzi miękko, elastycznie, jakby tańczył. Buty na brązowej podszewie. Płaszcz ciemny, w odcieniu granatowym, taki powszechny krój. I jakby nie miał głowy, przez ten komin, który

naciąga. Komin z materiału gładkiego, ciemnogranatowy.

— I co jeszcze? Coś o dłoniach?

— Nic. Wtedy trzymał je w kieszeniach płaszcza. Ale miał rękawiczki, czułam, gdy trzymał mnie za biodra. Byłam tam później z milicją. Mierzyli, opukiwali, nawet oglądali betonową posadzkę przez lupy, ale byli zrezygnowani. Ten stary kapitan kłął.

— A oczy? Czy chociaż przez moment widziałaś jego oczy?

— O tak. Kiedy mnie zagarnął po wejściu do bloku. Piękne, obrzydliwe oczy. Jasnobrązowe.

— No — westchnęłam.

— Kapitan też był zadowolony z tych oczu. I upewniał się ze trzy razy. Ale dziewczyna, gdy jest możliwość, zawsze zauważy, jakie są oczy.

— Dlaczego myślisz, że są piękne?

— Bo takie czyste, ładny wykrój, urocze rzęsy, dosyć długie. Jasne brwi.

— A dlaczego obrzydliwe?

— Zimne, bezwzględne. Żadnego uczucia. I ten nie budzący zaufania odcień barwy.

Wyszła, by z dołu przynieść filiżanki kawy. Porozglądałam się po mieszkaniu dziewczyny bogatej. Znakomity sprzęt radiowy, ale patriotyczny, gdyż radmorski. Płyty jednak i taśmy dolarowe. Dwie półki z książkami. Na jednej same słowniki, w tym oksfordzki angielskiego. Na drugiej naukowa oraz popularna literatura z dziedziny seksu. Zachodnie miesięczniki z pięknymi fotografiami nagich kobiet. Wzięłam jeden do ręki, francuski, mimo angielskiego tytułu, „Newlook”. Zawierał wśród wielu innych, olbrzymią, barwną i szczegółową fotografię dziewczęcej rozkwitłej płci.

— Przydatne, kiedy chłopak jest nieśmiały — wyjaśniła Grażynka, stając za moimi plecami. — Rzucają się potem na dziewczynę jak burza. Albo wysiadają już w pierwszej minucie. Możesz sobie wziąć któryś egzemplarz.

Zamyślona popijała pachnącą kawę i każdy łyk zagryzała czekoladką. Ja również nażarłam się tych nadziewanych czekoladek jak proszę. Za ubiegłe beczeko-

ladowe pięć lat i na następne dziesięciolecie.

— Wiesz, przyszło mi na myśl, że ten pajac Kwartalnik nie ma pojęcia o miłości.

— W jakim sensie, Grażynko?

— No bo można zrozumieć, że on z jakiegoś powodu nie robi tego normalnie. Podnieca go sytuacja: nieznana dziewczyna, jej strach, przymus, ryzyko. Słowem sadysta. Ale wygląda na to, że sam niewiele z tego ma.

— Tak sądzisz? — spytałam bardzo zaciekawiona.

— Nie jestem ekspertem, ale mam za sobą kawał życia. I w tej dyscyplinie pewne doświadczenia.

Dziewiętnaście lat. Kawał życia! Niemniej w zestawieniu ze mną mogła być mędrcom w tej dyscyplinie.

— On jest taki... — przygryzła wargi, aby znaleźć najlepsze określenie. — Taki mechaniczny. Kocha jak maszyna do szycia! Taka na nożny pedał. Rumienisz się?

— Czy... — spytałam próbując ukryć pewne zmieszanie. — Czy on to z tobą długo?

— Właśnie — ucieszyła się. — Właśnie. Zaden chłopak nie wytrzyma ze mną tak długo. A ten szył i szył, do znudzenia. Myślałam, że pracuje na całą dniówkę, i to mnie również śmieszyło. A na końcu zaskomlał jak suczka.

— Opowiedziałas przestuchującym o tych wrażeniach?

— Temu ponuremu kapitanowi? Ani jemu, ani pani porucznik. O przeżyciach niewinnej dziewczuszki? Owszem, pytali, co czułam. Odpowiedziałam, że borowanie. Takie, jakie odczuwa skorupa ziemska, gdy poszukują ropy naftowej. Ale od lekarza, bo musiałam poddać się badaniom, dowiedzieli się chyba, jaka ze mnie virgo intacta.

— Co mówił do ciebie Kwartalnik?

— Nie cierpię takiego głosu! Wytworzonego, głębokiego, bogatego w barwy fałszywego głosu pedała. „Ty, dzidzia, milcz — powiedział — bo inaczej obetnę uszy”. A ja już wiedziałam, że obcina.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wchodź, tata! — krzyknęła Grażynka.

Turlupaj wszedł nieśmiało i z wahaniem. Odczuwał respekt przed dziedziczką fortuny. Spytał jednak agresywnie.

— I czego chce ta?

— To taka babka! — stwierdziła Grażynka. — Jej nie obchodzą twoje kopalnie złota. Gadamy o miłości.

Stary złotnik popatrzył na nią z uczuciem. Zrobiła słodką minkę.

Pomyślałam bez sensu, że jeszcze kwitnie miłość rodzinna w niektórych domach.

Na koniec wizyty Grażynka Turlupaj zrobiła dwie rzeczy. Po pierwsze, podarowała mi ogromne pudło wedlowskich nadziewanych czekoladek.

— Skoro tak ci smakują. Bez zobowiązań.

Po drugie, zaferowała mi przystojnego, sprawnego chłopaka, który potrafi zrobić wszystko dla głodującej kobiety.

— Żadnych kosztów z twojej strony. To nie Kwartalnik.

Rozumiałam, iż propozycja zrodzona została z nagłej, czystej sympatii. Z pewnością uważała, że aktywny chłopak pomógłby mi schudnąć. Nie sądziła, iż można kobietę obrazić taką ofertą.

Czekoladki wzięłam.

V

Jest powiedziane, że niewiasta potrafi wyprowadzić z równowagi każdego mężczyznę. Mam na myśli damską logikę.

Muszę, postanowiłam, zrobić coś zwyczajnie głupiego.

Mieszkam samotnie na Osiedlu Kościuszki przy Kosynierów. Pokój, kuchnia i łazienka. Z ostatnich lat przydziałów spółdzielni mieszkaniowej w osiemdziesiątym drugim. Pięć lat mieszkaniowego luksusu.

Najpierw przygotowałam sobie i zjadłam suflet kawowy, do którego dodaję zawsze łyżeczkę kakao. Potem usiadłam

przy biurku, przy którym studiuje filozofów, i zagryzmoliwszy kilka brulionów, wysmażyłam krótkie ogłoszenie:

PROSzę O WSZELKIE INFORMACJE O MEŻCZYŹNIE, KTÓRY UCIEKŁ DO TEGO MIASTA Z MOJĄ MŁODZIUTKĄ SIOSTRĄ, LAT 20 DO 30. WZROST 175—180. SZCZUPŁY. CHÓD MIĘKKI. BARDZO MIŁY,

AKTORSKI GŁOS. PIĘKNE, JASNOBRĄZOWE OCZY. CHADZA W CIEMNOGRANATOWYM PŁASZCZU. CHYBA BLONDYN.

Wykaligrafowałam to ładnie flamastrzem i wywiesiłam za szybą mojej budki w CDT.

Ogłoszenie nie było nadaremne. Po dwóch dniach kapitan Małgorzatko przysłał do mnie dwóch przystojniaków w cywilu, którzy zaproponowali, nie dając innego wyboru, krótką jazdę polonezem.

— Pani nie ma żadnej siostry! — zagrzmiął kapitan z triumfem na początek.

— Tego nie wiadomo — rzekłam z godnością. — Mój ojciec był szalawiła.

— Co to znaczy „szalawiła”?

— Tego również nie wiem. Tak mówi mamusia. A poza tym nigdy nie twierdziłam, że mam siostrę, i jeśli nawet ją mam, to nie wiadomo, czy to moja siostra. A może pan kapitan wie coś o człowieku, który z nią zwiął do tego właśnie miasta?

— Chachacha — powiedział. — Durna.

— Kto? — oburzyłam się.

— Kto? Siostra swojej siostry.

— Chyba że — zgodziłam się pojednawczo.

Kapitan nabrał powietrza na dłuższą mowę, ale wypowiedział tylko jedno zdanie z całą surowością:

— Podała pani do publicznej wiadomości cały rysopis przestępcy!

— Jeśli cały, to niewiele o nim wiemy — stwierdziłam ponuro. — Czy jestem uwięziona? Chciałabym do lochu świecę i komplet greckich filozofów. Ale nie tylko materialistów.

— Doszliśmy jednak do wniosku — ciągnął kapitan — że poczynania pani, ogólnie rzecz biorąc, są społecznie korzystne. Mogą skłonić przestępcę do zaniecha-

nia dalszych gwałtów i rozbojów. A sprawy tej i tak nigdy nie zamkniemy. Wcześniej czy później wypłynie chociażby zrabowana biżuteria. Zabramy jednak wszelkich dalszych samowolnych kroków. I pytanie: Dlaczego pani przypuszcza, że to blondyn?

— Po brwiach, ma jasne brwi. Przez te dziury w kominie ktoś zobaczył.

— Porzuciła pani solidną, uczciwą pracę i wdała się w handel złotem — rzekł surowo kapitan.

— Nie tylko — potwierdziłam. — Także mirrą i kadzidłem. A skoro już ten pana szpicel jeździ za mną samochodem, to mógłby mnie podwozić na miejsca zbrodni.

— Mamy dylemat — rzekł kapitan tonem oficjalnym. I nawet uroczyście wyprężył się. — Trzeba albo panią unieszkodliwić, albo poprosić o współpracę.

— Mówi pan o kolaboracji z aparatem przemocy? — spytałam zimno.

— Mówię o pracy wykonywanej wspólnie dla unieszkodliwienia groźnego przestępcy. Jakkolwiek traktowałaby pani aparat milicyjny, który rzeczywiście stosuje przemoc w granicach prawa, to wspólne działanie w dziedzinie kryminalnej jest zawsze korzystne dla wszystkich.

— To całe przemówienie nie jest głupie. Tylko dlaczego, na Boga, przez trzy lata nie możecie łobuzowi nasypać soli na ogon?

— Dlatego, na Boga, że między innymi tacy jak pan, zamiast pomóc w swoim własnym interesie, dobrze się bawią! Czy pani nie pojmuję, że policja na całym świecie niewiele zdziałała bez informacji od reszty społeczeństwa?!

— Pan powinien prowadzić cały naród do różnych czynów, taka w panu siła argumentacji. Więc dobrze. Ale uważam, że osoba pomagająca w schwytaniu śmiertelnika powinna co najmniej dostać talon na białą gumową pałkę. Od żądania tego nie odstąpię. A jakie ma pan życzenia?

— Chcę tylko wiedzieć tyle, ile pani.

— Uuu, proszę pana. To musimy zacząć od Talesa z Miletu, od jońskiej szkoły filozofów przyrody.

— Wszystko o przestępcy zwanym Kwartalnikiem.

— Powiem. Ale niezupełnie za darmo. Czy w jakiś inny sposób dało się określić kolor jego włosów? Inaczej: czy jest blondynem?

— Tak. Świadczą o tym jego włosy łonowe. Ale te na głowie może farbować nawet na zielono.

Opuściłam tylko informacje o, jakby rzec, wewnętrznych fizycznych wrażeniach Grażynki Turlupajówny. Mógłby się zapalić i spłonąć ze wstydu, a kto wie, jaki byłby nowy kapitan. Sporo notował.

— Nieźle — podsumował. — Przez taki krótki czas. A jakie wnioski?

— Tego za wiele! — wrzasnęłam. — Ja mam pracować, a pan zgarnie wynagrodzenie?!

— Pani mnie męczy — powiedział zrezygnowany kapitan Karol Małgorzatkan.

Moim ogłoszeniem zainteresowało się ponad trzysta kobiet. W ciągu tygodnia! Niespodziewanie zwiększyło ono popyt na repasację, co podreperowało mi finanse. Prawie trzysta razy, bo często miałam grupę słuchaczek jednocześnie, opowiadałam, jak jakaś budkowa wróżka, historię nieszczęsnej mojej siostry. Jej głupiej miłości do zimnego przystojniaka. Rezygnacji z pięknych perspektyw w trzeciej licealnej. Z rozwijania talentu muzycznego, to jest gry na fagocie. W zasadzie codziennie zmieniałam pewne szczegóły: wiek, imię siostry, perypetie, tylko mąciociel jej serduszka był bez przerwy ten sam: wysoki blondyn z jasnobrązowymi oczyma.

Egoistyczne, kłótlive, niedobre baby wrzuszały się i przejmowały bzdurnymi nonsensami. Wieczna i nigdy nie zaspokojona jest w ich sercach potrzeba kontaktu z melodramatem. Bidule stojące w kolejce po tańszy proszek do prania tym bardziej współczuły siostrze mojej, w im większy wyposażałam ją majątek, przekraczałam tu nawet granice prawdopodobieństwa wyznaczonego przez upaństwowienie środków produkcji.

Wyrachowany podrywacz z brązowymi, zimnymi oczyma nie dbał o to naiwne dziecko i przepuszczał jego pieniądze, po-

chodzące z dorobku w gangu kwiatowym moich złych rodziców, którzy kiedyś mnie wykłęli, a całe uczucie ulokowali w młodszej córce, która pewnego dnia związała z całą kasą.

Było mi przykro wytwarzać te głupoty. Dziewczyny z liceum medycznego spisały nawet dzieje mojej zakochanej w hochsztaplerze siostry, a potem powieliły je wielokrotnie w swoich kajetach. Na wielu takich zeszytach złożyłam autograf. Nie sądzę odtąd, by jakiekolwiek dyrdymały nie znalazły wdzięcznych słuchaczek, ogarniętych czystym współczuciem dla ofiar miłości. Warunek właśnie jest jeden: opowieść musi traktować o nieszczęśliwych, źle umieszczonych uczuciach i prowadzić ku karze i zgubie. Wśród ogromnie zainteresowanych słuchaczek dostrzegłam nawet doktorową Gretzk. Poruszona losom mojej siostry, trzymała za dłoń jakąś wysoką dziewczynę i ścisła ją serdecznie.

Wiedziałam już, że Kwartalnik wie, iż go poszukuje.

Z formalnego punktu widzenia efekt całej afery przeszedł możliwe przypuszczenia. Otrzymałam od kobiet czterdzieści dwie informacje o mężczyznach z jasnobrązowymi, wrednymi oczyma i o innych jeszcze właściwościach, bliskich tym z ogłoszenia. Zrozumiałam wówczas, że musiałabym sprawdzać owe sygnały bardzo długo i z ogromnymi utrudnieniami. Na wniosek kapitana Małgorzatkan milicjanci postarali się poznać dokładnie każdego ze wskazanych ludzi.

— Jest tak — powiedział kapitan po zaledwie dziesięciu dniach. — Dwudziestu trzech nie dysponuje oczyma w tym kolorze, to znaczy paniom się bardzo lub trochę pomyliło. Z pozostałej dziewiętnastki żaden nie mówi cudownym głosem, ale to może być sztuczka, takie mówienie. Siedmiu jest dosyć starych, o co mniejsza, gdyż w końcu nie znamy wieku przestępcy, ale też za słabych fizycznie, aby zapanować nad młodą kobietą. Pozostaje sześciu, którym z grubsza można przypisać jakieś cechy osobnika zwanego Kwartalnikiem. Za dalszą zgodą prokuratury przyjrzymy się im jeszcze bliżej. W każdym razie nie ma ani jednego po-

dejrzanego o wszystkich ustalonych przez nas cechach.

— Kłapa generalna — podsumowałam bez żalu. — Ale też nie spodziewałam się, że klientki przyniosą nam Kwartalnika na patelni, a my go tylko usmażymy.

Kapitan Małgorzatko uśmiechnął się. Chyba po raz pierwszy w życiu.

— Praca ta jednak nie poszła na marne — stwierdził. — Przy okazji schwyta-
liśmy dwóch innych poważnych przestęp-
ców. I pomyśleć, że nie mają nawet brą-
zowych oczu. Po prostu wzbudzili podej-
rzenia u kobiet, które pani pomagają.

— Robicie rejestr mężczyzn z takimi
oczyma?

— Różne rzeczy ludzie robią — od-
powiedział i ucieszył się, że może mi doku-
czyć.

— Pytam się, do jasnej cholery! —
krzyknęłam.

— Niech pani nie wychodzi nigdy za
mąż — poradził jadowicie. — Pani znisz-
czy każdego chłopca.

— Zrywam z panem! — wrzasnęłam
wściekła.

— Uruchomiła pani batalion wścibskich
kobiet — rzekł z uznaniem. — Pani ma
wielkie talenty. Gdyby szukała pani od-
owiedzialnej, dobrze płatnej pracy...

— Nigdy! — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że da już pani spokój
temu przestępcy i zostawi go nam. Nie
popuszczymy.

— Byleby jeszcze w dwudziestym wie-
ku.

Podpisał przepustkę.

— A talon? — zapytałam.

— Jaki talon?

— Na gumową białą pałkę, bo nie ma
ich w wolnej sprzedaży.

— Ech — westchnął. — Chce się pani
błąznować.

— Krew mnie zalewa z bezsilności —
wyznałam szczerze.

— Chciałaby pani szybko ponaprawiać
świat. Tak szybko...

Przerwałam mu:

— ...jak damskie majtki. Jestem poru-
szona głębią pańskich spostrzeżeń. Z tego,
co się opowiada o milicjantach, nie wy-
nika, że potrafią tak filozofować. Ale wróć-

my do mojej prośby. Jeśli nie można pał-
ki, bo pałki pochodzą z drugiego obszaru
płatniczego, to niech mi pan załatwi, tak
na lewo, jak wszystko dzisiaj, tę licencję
prywatnego detektywa!

— Wolałbym pani już tutaj więcej nie
ogłądać! — rzekł niesłuchanie ostro.

VI

Do mojej budki przyszło jeszcze kilka-
naście kobiet z rewelacjami na temat mło-
dego człowieka, który porwał i skrzyw-
dził moją siostrę Lilkę, głupią piętnasto-
latkę, ślepo kochającą w tych czasach bez
miłości.

— Ale gdzie też może być ta pani sio-
strunia? Bo on żyje sobie z inną.

Czas szedł do przodu. W domu towa-
rowym już dawno ekspedientki z chemicz-
nego postawiły i ubrały śmierdzącą che-
miczną choinkę.

Wysoka dziewczyna podobna do koszy-
karki dała mi adres mężczyzny, który po-
dobno mówił charakterystycznym głosem
aktora Łapickiego, a ponadto żył samot-
nie, rzecz absolutnie nienormalna. Dziel-
czyzna miała brązowe oczy, więc spytałam:

— A może siostrę moją porwał pani
brat?

Adresy podejrzanych znów otrzymał ka-
pitan, a dziewczynie i pozostałym kobietom
wyjaśniłam, iż siostra już się znalazła,
jest na oddziale psychosomatycznym
szpitala we Wrocławiu, pełna narkoman-
ka, nie do odratowania. Przede wszystkim
jednak podkreślałam, iż wiem już, gdzie
się kręci ów blondyn, sprawca wszystkie-
go i nie tylko tego, zresztą nie jest blond-
nym, tylko zupełnie kimś innym, zde-
konspiruję go lada chwila.

— Wsadzę za kratki, jak mi Bóg mi-
ły! — wykrzykiwałam. — Niejednej zro-
bił rzecz straszną, nie do opowiadania.

No i odniosło to wszystko skutek: noc
wigilijną spędziłam na dachu wieżowca

przy ulicy Jana Kilińskiego. Przeżyłam dzięki dwóm pudom sadła w pięciu pudach wagi ogólnej.

— Tobie, jeśli piśniesz, utnę nos. Pieprzona, tłusta Piggy.

Było oczywiście, że nie chodzi o przypadek. Godzina osiemnasta, pięknie padał puszysty śnieg. Szłam do Gawrów zaproszona na wigilię. Żona adiunkta Gawry była moją daleką kuzynką. Niosłam długie pudło z prezentem dla ich Kasi. Wiedziałam, co zrobię Kwartalnikowi, gdy mnie zaatakuje, byłam przygotowana. Ale nie wzięłam mojej broni w ten uroczy wieczór, nie przyszło mi do głowy, iż można być zwierzęciem w taki serdeczny wieczór.

— Mam miesięczkę — ostrzegłam Kwartalnika.

— Ja z tobą, krowo? — zdumiał się.

— Byłoby to już drugi raz — wyjaśniałam.

— Wiem, świński ryju.

To prawda, że jestem otyła. Może trochę za bardzo otyła. I sporo elementów mam grubych, co nie wszyscy lubią. Ale twarz mam ładną. Pełną, okrągłą, młodą. Apetyczną cerę, niezłe usta i śliczny, proporcjonalny nos. Tak, nos. Można u mnie wykryć uroki równorzędne ze ślicznościami panny Piggy z Muppetów, przecież nie da się mojego nosa przyrównać do ryja! Żadną miarą!

— Sam jesteś ryj! — powiedziałam mu z godnością. Brzytwę trzymał w dłoni okrytej ciemną skórzaną rękawiczką w taki jakiś fachowy sposób. To ostre narzędzie było otwarte w kształcie litery V. Nie mam pojęcia o goleniu, choć gołę się czasem pod pachami maszynką z żyłką. Ale błysnęło mi we wspomnieniu z jakiegoś przedwojennego filmu, oglądanego w telewizorze, że fryzjer trzymał brzytwę właśnie w taki sposób. Kwartalnik musiał mieć związek z tym fachem. I już zaczęłam być trochę zadowolona. Wryłam również sobie w pamięć kształt jego niewielkiej dłoni.

Gawrowie mieszkają na piętrze trzecim. Ale Kwartalnik wsadził mnie do windy i zawiózł na dziesiąte. Już na dole bloku słychać było przygotowania do świąt, tu i tam już się rozpoczęły. Wielu lokatorów

mogło się jednak pojawić w holu z różnych przyczyn. Zaczęłam podziwiać Kwartalnika za kamienny spokój.

Chłonęłam szczegóły. Płaszcz miał grubo, z podbiciem, być może futrzanym. Ciemny granat. Rozpoznałabym to okrycie na ulicy. Ale czy facet poszukiwany od trzech lat paraduje w nim poza swoją szczególną pracą? Nogawki dżinsów wpakował w cholewki męskich kozaczków, jakich wiele, chyba numer osiem. Postarałam się zapamiętać spękanie na jednym z nich.

Na głowę naciągnął komin z otworami na oczy. Był niewątpliwie prekursorem mody na taki właśnie rodzaj szala niedawno popularnego wśród dziewcząt. Z tym, że jego komin uszyty był specjalnie z cienkiego podszewkowego materiału, co ułatwiało oddychanie.

— Ja cię widziałam, cudaku. Bez tej rury na łbie — stwierdziłam z wielką pewnością, gdyśmy jechali do góry.

— Widziałas — zaśmiał się.

— Niedawno.

— Dawno niedawno. Denerwuje mnie twój świński spryt.

— Świnie są inteligentne — objaśniłam go. — Ty również jesteś inteligentny.

Poczęłam się jednak niepokoić, gdyż wedle reguły powinien mnie zgwałcić już na dole, a on tego nawet nie zamierzał. Oto kobieca logika.

— Nic nie zrabujesz. Nie noszę biżuterii, nie mam dziś przy sobie pieniędzy — powiedziałam mu.

— Nie — zgodził się łatwo.

Mój niepokój zwiększył się. Wysiedliśmy z windy. Kazał mi iść w stronę drzwi wiodących do suszarni na dachu wieżowca. Gdyby zamierzał mnie po prostu zarznąć, mógł to zrobić już na dole albo w windzie. Ciach po gardle i nawet bym nie krzyknęła, więc nie zamierzał mnie zabić. Może strącić z dachu? Ktoś, kto lubi obcinać uszy, nie strąca, pocieszyłam się. Wykorzystuje się takie swoje ulubione narzędzia, których się używa. I znany sposób.

— Co chcesz zrobić?

Byliśmy już w suszarni, gdzie beczelnie zapalił światło.

— Nauczyć krowę rozumu. Chciałaś mnie znaleźć. To i znalazłaś. Chciałaś mnie znów spotkać. To spotkałaś. Chciałaś...

Pomyślałam, że on się zanadto podkreca i kiedy się rozzłości, może zrobić coś ostatecznego.

— Szukałabym cię we wszelki sposób, bo cię kocham! — krzyknęłam dramatycznie.

Najpierw się zdumiał, a potem machnął w powietrzu brzytwą.

— Nie zmyślaj, prosiaku!

Prosiak to coś sympatyczniejszego od krowy i dużej świni.

— Tak — zaczęłam mówić szybko. — Kocham. Szukam cię od tamtej chwili. Chcę jeszcze. Chcę zawsze z tobą. Pod ścianą. Właśnie pod ścianą. Nagle. Ze strachu i miłości.

— Powiedziałaś, że jesteś niedysponowana — zauważył.

— Bo dziś jestem. Ale kocham i chcę. Nikt mi nie dał takiej rozkoszy. I nie wiedziałam, że jest to możliwe. Nigdy nie pojmiesz, jaka byłam wtedy szczęśliwa!

— Wielkie grubasy nie mają powodzenia — zauważył. — Biedna krowa. Nigdy ci nie wpadło do głowy inne rozwiązanie? Nie chcą cię, nie chcą ich! Ale krowa z ciebie apetyczna.

Nie dowiem się, czy miałam wówczas zginać. Raczej tak. Przeciął brzytwą kilka sznurów od bielizny, wypróbował ich wytrzymałość i związał mi ręce za plecami. Potem rozpiął moje palto i odciął wielki kawał materiału z mojej pięknej świątecznej bluzki. Wpakował mi część głęboko w jamę ustną, a resztą obwiązał głowę wokół. Byłam fachowo zakneblowana. Trzy mocne sznury przywiązał dodatkowo do moich rąk, a ich końce przytroczył do umieszczonego w suszarni stalowego ucha. Stałam się rzeczywiście bezwolną krową na uwięzi. Ale nie mogłam nawet zaryczeć.

Kwartalnik złożył starannie brzytwę i schował ją do kieszeni. Potem, nie spiesząc się, otworzył pudło z prezentem dla Kasi, które odebrał mi przed związaniem rąk, i położył na posadzce.

— Piękna jest — powiedział. I przeczytał na metce: — Carmen. Cyganicha.

Lalka zrobiona na ognistą brunetkę w hiszpańskim stroju była rzeczywiście śliczna. Kwartalnik ostrożnie wyjął z pudła umieszczony tam kawałek pomiętego papieru i rozścielił go na betonowej podłodze. Na papierze położył pudło, a w nim ustawił lalkę w pozycji siedzącej.

— Piękna — powtórzył. — Piękna, chociaż nie lubię czarnulek.

Długo patrzył na lalkę z nie ukrywającą przyjemnością.

Właściwie w tym momencie przestałam się bać o życie, gdyż mógł mnie załatwić bez całej tej zabawy. Pozostał jedynie strach przed okaleczeniem i gotowa byłam oddać oboje uszu, ale nigdy mojego pięknego nosa. Powoli podeszłam blisko do miejsca, gdzie przywiązał początkowe odcinki sznurów, by w razie konieczności móc wziąć rozped i uderzyć go bykiem albo wykorzystać ów wspaniały cios kolaniem. Wiedziałam, że w walce o nos gotowa będę na wszystko i zniknie lęk przed nadzianiem się na brzytwę częścią ciała inną niż twarz.

Kwartalnik, po kontemplacji lalki, wygłosił nieduże przemówienie świąteczne: — Opasła idiotko. Nigdy więcej nie wtrącaj się w moje sprawy. I wypchaj się ze swoją miłością.

Podszedł zrecznie z boku, bym nie mogła zaatakować, odwiązał sznury od stalowego ucha, otworzył wiodące na dach blaszane drzwi i kazał iść. Światło z suszarni roziskrzyło padający nadal śnieg. Kwartalnik prowadził mnie jak zwierzę na pastwisko. Skoro jednak powiedział, bym nie wtrącała się w jego sprawy, to pozostawiał mi taką możliwość na przyszłość. Była to dedukcja prawdziwa pod warunkiem, że wyciągałam wnioski ze słów człowieka normalnego, a coraz bardziej skłaniałam się ku przypuszczeniu, że trafiłam na największe nieszczęście, jakie może się kobiecie przydarzyć w takiej sytuacji: na psychopatę. Zbyt wiele przemawiało za taką właśnie konkluzją. Musiałam zdecydować się na szybką diagnozę w sprawie zdrowia psychicznego Kwartalnika. Dostrzegłam bowiem pewną szansę ratunku, gdyby mnie na przykład zamierzał zabić przez zrzucenie z wieżow-

ca. Zdecydowałam się, przeważyła zasada, że zawsze korzystam z szansy.

Zwolniłam kroku niby za przyczyną głębokiego śniegu oraz ciemności. Skróciło to odległość między mną a postępującym z tyłu Kwartalnikiem. Potem rzuciłam swoje pięć pudów w nagły bieg. Przy każdym pędzie wzrasta masa, więc sznury powinny natychmiast przewrócić nawet bardzo silnego mężczyznę. Mógł je wtedy puścić lub zaszyby inne, korzystne dla mnie okoliczności. Pobiegłabym z powrotem do suszarni i aż do nagłej śmierci z zadyszki biegłabym przez pootwierane drzwi na korytarz i walila ciałem we wszystko, co czyni hałas. Był to plan lepszy niż bezwolne krowie poddanie się oraz przerażający lot z dziesiątego piętra i krótko trwający przegląd w mijanych oknach pięknie ubranych, kolorowo świejących choinek.

Tyle że Kwartalnik natychmiast, kiedy runęłam ciałem do przodu w gwałtownym zrywie do długiego biegu, świadomie puścił sznury, więc z całą mocą zaryłam się twarzą w puszysty śnieg.

Nie był istotą nadprzyrodzoną ani specjalną w inny sposób. Posiadał jednak wycucie tego, co może zrobić w każdej chwili drugi człowiek. Odczytał mój zamiar prawdopodobnie instynktownie, jak czyni to rutynowany bokser albo bramkarz. Tamtej nocy postanowiłam więc rozpatrzeć koneksje sportowe Kwartalnika.

Uznał wydarzenie za komiczne. Podniósł mnie po omacku i nawet trochę otrzepał ze śniegu w salwie szczerego śmiechu. Potem podprowadził do grubej rury, będącej masztem zbiorczej anteny telewizyjnej. Biło na nią rozproszone światło z innych bloków. Tam starannie przywiązał końce sznurów. Byłam na białym, poszarzałym od nocy, wysokim pastwisku.

Nic już nie mówiąc, tylko trochę chichocząc w tym swoim kominie, powoli odszedł w kierunku suszarni. Zgasił w niej światło. Zostałam sama na ciemnym dachu wśród padających gęsto płatów śniegu.

VII

Najpierw odetchnęłam.

W sensie duchowym. W fizycznym mogłam tylko zagwizdać przez nos. Stwierdziłam, że materiał, z jakiego uszyta była moja bluzka, jest bardzo niesmaczny. Postanowiłam przy zakupach przeprowadzać degustację bluzek. Próbowalam wypluć knebel, daremne starania.

Wrócił jednak cenny spokój.

Pojęłam jedno: dopóki znajduję się w tej sytuacji, nie wolno mi zasnąć. Nie było nazbyt zimno, ale miękko i jednostajnie padający śnieg nie topniał. Około minus pięciu. Żadnego wiatru, wiatr mógł być groźny. Nie byłam jednak ubrana stosownie do okoliczności. Do Gawrów wybrałam się w skórzanych ciepłych kozaczkach oraz w zimowym palcie. Niestety, pod spodem nie przygotowałam się do wigilii na dachu. Na bluzkę nie wciągnęłam żadnego swetra. Majtki także miałam świątecznie cienkie, za to eleganckie.

Postanowiłam pozostawać w ciągłym powolnym ruchu, póki nie uda mi się oderwać od maszty.

Nie próżnowałam. Na początek wykonałam kilkanaście prób naprężenia i zerwania sznurów. Były mocne, z tworzyw sztucznych. Rzykowałam urwanie dłoni. Próbowalam, stojąc w osobliwych pozycjach, przetrzeć sznury o rurę. Sznury nasiąkały wodą z rozgrzanego w ten sposób śniegu, a woda zamarzała.

Wszystkim moim czynnościom towarzyszyły idące z bloków wzruszające śpiewy o pierwszych chwilach Pana na okrutnym świecie. Rozgrzani uroczystą kolacją, ludzie pootwierali gdzieś okna. Słyszałam bowiem nie tylko piękną muzykę z płyt oraz wysokie chłopiące głosy, ale także nabrzmiałe serdecznością frazesy i wydumane prośby, by przeznaczenie spowodowało szczęśliwy, dobry rok. Chwalono również potrawy i kiedy usłyszałam

o smacznych kluskach z makiem, miodem i rodzynkami, które przygotowała jakaś Anna, o mało nie zalała mnie krew. Zapomniany smak ucukrzonego maku, rozartego na słodkie mleczo zlepiające domowy makaron, wypełnił mi usta i jak dziecko poczęłam ssać swój obrzydliwy knebel.

Niemniej jestem osobą myślącą w każdych okolicznościach realnie. Próbowałam więc przywołać ludzi na dach. Tupaniem. Uderzaniem w tumiącą wszystko warstwę śniegu. Po chwili postąpiłam metodyczniej: odgarnęłam stopami ile się dało białego puchu w nie udeptanym miejscu i wówczas zabębniłam w papę. Gumowe grube obcasy kozaczków walące w dobrze izolowany termicznie dach dawały efekt nędzny. Powstawał jakiś hałas, lecz pokrywał go śnieg oraz ciemność i odgłosy świętowania. Usiadłam więc, by stukać twardą skórzaną piętą nad obcasami. Zmarzło mi siedzenie.

Miałam zegarek, lecz z tyłu na dłoni. Oceniałam, że upłynęło ze trzy godziny. Stawało się jasne, iż bardzo długo krążyć będą przy maszcie niby uwiązana do kołka bardzo głupia krowa. Co najmniej do rana, jeśli nie dłużej. Rozum nakazywał jeszcze bardziej zracjonalizować wysiłki, by nie wyczerpać energii. Znam taki termin: służba wartownicza. Nie wiedziałam, na czym ona polega, gdyż nie wchodzi ona w żaden system filozoficzny, ale wiedziałam, że muszę ją podjąć i sprostać zadaniu.

Nie pomstowałam na Kwartalnika. To ja sprowokowałam tę zabawę na ośnieżonym dachu.

Chodziłam więc na dwumetrowej uwięzi, udeptywałam śnieg i konkludowałam, że sytuacja moja przestaje być komiczna, choć po odejściu łobuza taką kwalifikację uzyskała w mojej świadomości. Tu sta młoda kobieta na dachu w noc wigilijną krąży wokół żelaznej rury z antenami odbierającymi wesoly program świąteczny i ubija padający wciąż śnieg. Zabawne do pewnego czasu.

Poza tym lubię jeść.

Tego dnia nie jadłam obiadu. Mała rezygnacja w hołdzie małce, która przestrzegała zwyczaju, aby w Wigilię postny

posiłek nastąpił dopiero, gdy zapali się na niebie pierwsza gwiazda.

Lubię zjeść dużo.

Dużo smacznego jedzenia ma wielki sens.

Chociaż padający śnieg zabierał w dół zapachy potraw, które ulatywały z gorących kuchni przez uchylone okna, część woni dochodziła mojego nosa i potęgowała apetyt. Jeszcze nie głód, gdyż dzień bez posiłku nie oznacza głodu. Cierpiałam jednak z tej przyczyny mocno. Na kuchenkach warzyły się także sosy, piekły mięsowa i ciasta na następny dzień. Chciało mi się również pić. Z chęcią jadłabym śnieg. Położyłabym się na dachu i zlizywała językiem. Knebel oddzielał mnie i od tej nędznej możliwości.

Mogłam jedynie wahać święta i słuchać ich. Kwartalnik wymyślił osobliwą karę. Po jakimś czasie poczęły mnie boleć nogi od ciągłego chodzenia na małej przestrzeni. Stałęm. Bolały nadal. Przykucnęłam, lecz wtedy dopadło mnie prężne pragnienie snu. Z dołu, z ulicy dochodziły liczne głosy. Świętujący ludzie szli na pasterkę. Powstałam. Podjęłam służbę.

Przyszło mi na myśl, iż warto wykorzystać ten bezproduktywny czas na analizę wszystkich informacji, których świadomie lub bezwiednie dostarczył mi tego wieczoru Kwartalnik. Ale chciało mi się myśleć o wszystkim, byle nie o nim. Znów przykucnęłam i zjawiło się nieodparte pragnienie snu. W udręczającej walce z zamykającymi się powiekami dopomógł mi przytłumiony dźwięk dzwonów ze wszystkich kościołów. W chwilę później poderwała mnie nienaturalna, zwierzęca, krowia radość. W suszarni bowiem zapaliło się światło.

Blask rozświetlił wirujące płyty śniegu i zrobiło się uroczyście. Ktoś szedł w moim kierunku. Zaczęłam się dusić z głupiego szczęścia. Zatańczyłam również z uciechy cokolwiek dziwnego kozaka.

A potem nagle cały ten idiotyczny stan ducha przemienił się w odrętwiającą rozpacz. Człowiek, który szedł, nie miał twarzy. Za to na głowie komin z czarnego materiału z białymi ozdobami, jakie wylepia śnieg.

— Żyjesz, krowo — powiedział bez uczucia.

Natychmiast odeszło mnie pragnienie snu. Stwierdzenie Kwartalnika zabrzmiało bardzo wieloznacznie.

— Chciałabyś i ty zaśpiewać łzawą kołędę? — spytał i wspaniałomyślnie zdjął mi knebel.

Zaraz uklękłam, pochyliłam się i żarłocznie poczęłam jeść śnieg. Miałam przed sobą dużo smacznego jedzenia.

Rozumiałam, iż nie wolno mi krzyżeć. Jadłam.

— Widzisz, kim jesteś — powiedział. — Potrzeba było tylko sześciu godzin, aby wydobyć z ciebie prawdziwą krowę.

Podniosłam się. Niezmiernie trudno jest się podnosić bez pomocy rąk.

— Palancie — powiedziałam. Nie będę dla palanta grać honorowej damy.

Wstąpiła we mnie złość i zrobiło mi się wszystko jedno.

— Aleś głupia — zaśmiał się. — Niczego się nie uczysz!

Z dołu dochodziły liczne głosy, śmiechy i hałasy. Świętujący wracali z kościołów, gdzie ogłoszono, że znów narodził się Bóg.

— Słyszysz? — rzekł Kwartalnik. — Kto wraca? Kto wraca z nabożeństw, na których wzruszono się Dzieciątkiem, przemówieniami księży, piosenkami o biedzie Narodzonego? Wracają złodzieje, kanciarze, łapówkarze, dziwki, nieroby, alkoholicy oraz inne szuje. Będą teraz pić i jeść za to, co ukradli w pracy, wymusili od petentów, co uzyskali za świadczenia tyłkami, co wyplacono im za leniwe wytwarzanie tandety. Złożyli sobie życzenia dalszych udanych złodziejstw, bezwzględności, egoizmu i chamstwa. I będą się starali życzenia wypełnić ponad normę.

— Nie wszyscy! — wrzasnęłam.

Miałam na myśli fakt, że uchowali się jeszcze różni ludzie z sumieniem.

— Zgoda — potwierdził. — Tylko prawie wszyscy.

— Rozumiem — powiedziałam. — Oni kradną, to i ty czujesz się uprawniony. To i ty możesz sobie trochę porabować, pogwałcić, poobcinać uszu.

— Tylko dwa uszka — stwierdził. —

i potem wszystkie były już posłuszne. Te posłuszne dziewczyny oraz kobiety. Dwa uszka i ponad trzydzieści potulnych kobiet. Aż obrzydzenie bierze.

Co mogłam powiedzieć? Potulna i posłuszna.

Rozogniony swymi racjami Kwartalnik począł wyklądać całą swoją ideologię. Chciał działać słusznie, z teoretyczną podbudową.

— Kobiety w tym mieście czekają na mnie. Spodziewają się — do pięknego głosu zakradło mu się niekłamane wzruszenie albo był wielkim aktorem. — Nie jesteś pierwsza, która mnie zaaprobowała. Smutne życie kobiet zostało przeze mnie przemienione. Już nie wychodzą z domów po nudne zakupy na śniadania, obiady i kolacje. Już nie wymykają się do sąsiadek na plotkowanie o niczym. One teraz spodziewają się mnie. Przez korytarze, klatki schodowe, piwnice domów przechodzą ze strachem, ale jednocześnie z nadzieją, że schwytam je za kark i zrobię to. Rozmawiają o tym, zdobyły temat, w którym w każdej chwili stać się mogą głównymi bohaterkami. Grają w prawdziwym filmie odcinkowym: za drzwiami ich mieszkania może czekać na nie prawdziwy tutejszy krokodyl. Ryzykują całością swoich uszu, a przecież są pewne, że nie ryzykują. Sama wiesz, z jaką chęcią pod wygodną maską przeobrażenia stają pod brudnymi ścianami i rozsuwają nogi. Są inne świadectwa gorliwej gotowości. Ogólne znużenie pracami powszedniego dnia zmieniło się teraz w podniecające oczekiwanie na mnie. A ja wszystko za przystępną cenę.

Spacerował powoli w ciemności i wydawał się krążącą plamą obdarzoną cudownym głosem. Powinien się nazywać Miesięcznik. Z taką bowiem działał częstotliwością. Miał filozofię. Należałam do większości poszkodowanych kobiet, które nigdzie nie zgłosiły tego faktu.

— No tak — powiedziałam. — Zwierzęta mówią w tę cudowną noc.

— Twierdziłaś, że mnie kochasz. Głupia dzidzia.

Podbiegł i rozwartą dłonią wyrzwał mnie w twarz. Zadziałałam jak sprężyna,

kropnęłam go kolanem. Prawdopodobnie w udo. Potem czekałam przerażona, kiedy odetnie mi nos.

VIII

Nie obcinał w Boże Narodzenie. Wyciągnął skądś zmiętą gazetę z informacjami o trapiących ludzkość klęskach, gdyż innych gazet nie ma, i zgniółszy ją odpowiednio, wsadził mi w usta. Przedtem unieruchomił mnie prostym ciosem w brzuch. W mój brzuch łatwo trafić.

Nie zauważyłam, kiedy zniknął. Dosyć długo leżałam na śniegu. Mój obolały żołądek bardzo pragnął podjąć funkcję trawienia. Poczęłam mu przygotowywać papkę z papieru i drukarskiej farby.

Powstałam z trudem i z rosnącym zderwowaniem na wciąż padający śnieg. Niewidoczne w ciemnościach płatki topiły się na mojej wciąż gorącej twarzy. Moja twarz zawsze budzi w mężczyznach apetyt: pod napiętą skórą krąży bowiem, jak mi powiedziano używając staroświeckiego określenia, wywołująca zdrożne pragnienia krew z mlekiem.

Zapas wilgoci w moim organizmie, powstały ze zjedzonego śniegu, okazał się przydatny. Poczęłam świadomie produkować ślinę i rozmiękczać papierowy knebel w jamie ustnej. Potem dokonywałam cudów w kręceniu żuchwą, aby przetykać odrobiny papki. Spóźniona wigilia wielbicielki prasy. Nie wiem, jak jest na świecie, nasza farba smakuje obrzydliwie.

Straciłam rachubę czasu. Być może po piętnastu minutach, ale równie dobrze stało się to po dwóch godzinach, nadważyłam knebel na tyle, że mogłam uruchomić język i za jego pomocą wystrzelić z siebie resztkę wiadomości z kraju i ze świata. Zajęcie, jakiemu się oddawałam, miało tę dobrą stronę, że zapominałam o innych dolegliwościach sytuacji. Człowiek potrzebuje zawsze jasnego celu w życiu!

Poczułam się wolna i z otwartą gębą ruszyłam nawet w kierunku czarnego, zamglonego masywu suszarni. Szarpnięcie sznura zaraz przypomniało, iż nadal jestem krową. Tyle że zdolną do ryczenia.

Zebrałam się w sobie i, spalając w pierwszym okrzyku co najmniej kilogram sadła, wrzasnęłam w panującą ciemność i ciszę:

— Ratuunkuuu!

Zabieg ten powtórzyłam z piętnaście razy po stosownych na ów ratunek przerwach. Bez skutku. Śnieg pięknie tłumil krzyki, które głównie szły do nieba, ale tam świętowano tej nocy bardziej niż na Ziemi i grzmiały chóry anielskie.

Przypomniała mi się prasowa informacja, że w Londynie, Los Angeles, Nowym Jorku, a także w Hamburgu i w ogóle w tamtych stronach potrzebujące pomocy kobiety nie wołają o ratunek, bo to powoduje, iż mogący udzielić pomocy szybko uciekają, aby też nie oberwać. Dziewczyny ogłaszają więc pożar. Płomienie mogą ludziom zniszczyć dobra materialne, czego nikt nie lubi. Jest także pewne, iż nawet dobrze buchający ogień nie wybije nikomu zębów.

Oczywiście miałam świadomość, iż nie znajduję się w dżungli Paryża lub Chicago, lecz w świecie cywilizowanym. Nie zawadziło jednak dla próby ulec na chwilę modzie cudzoziemskiej. Poczęłam drzeć się jak przypiekana wariatka:

— Pali się! Pali się! Pali!

Niewiele już było światła w oknach widocznych budynków. Pożar oznajmiałam z jądra ciemności, głos mi słabł, śnieg padał.

Zachrypiłam szybko. Poczęłam skrzeczeć. W końcu udawało mi się wydobywać z narządów mowy jedynie niegłośnie, litościwe, smutne oraz przeciągłe:

— Muuuuu. Muuuuu.

Otóż uważam, że jeśli mężczyźni boją się łobuzów napastujących kobiety i uciekają, aby nie dostać lania, oraz nie śpieszą do niewidocznych pożarów w łagodnej śnieżycy, to przynajmniej powinni zastanowić się, co może robić żalostnie rycząca krowa na dachu dziesięciopiętrowca w środku zimy i w parę godzin po północy.

Znów walczyłam z przemagającym pragnieniem snu. Aby go odegnać, cichutko i ochryple prześpiewałam wszystkie znane mi kolędy prawie poplakując nad zwrotkami w rodzaju „placze z zimna, nie dała mu Matula sukienki” czy „oj, maluśki, maluśki, kiejby rękawicka”. „Rękawicka” uprzytomniła mi opuchliznę moich dłoni, skręconych za plecami ściskającym je sznurem. Na szczęście moje rękawiczki podbite były futerkiem, a ponadto regularnie starałam się poruszać w nich palcami, by pomóc krwi w krążeniu. Bardziej bolały mnie wyciągnięte do tyłu ramiona aniżeli dłonie.

Nuciłam również piosenki Beatlesów, gdyż jestem bardzo staroświecka. Potem zadziałała dawna zachęta Kwartalnika, aby czas czekania skracać cichą recytacją wyuczonych w szkole wierszy. Jestem systematyczna: zaczęłam więc od „Bogurodzicy” i nie darowałam fragmentom prozy. Dlatego następnie wygłosiłam oskarżycielską mowę Antygony i poprzez pieśni oraz treny Kochanowskiego, a także mocną argumentację Modrzewskiego o potrzebie równości wszystkich wobec prawa przeszedłam do barokowych wydziwian Morsztyna. Oskarżyłam panów, którzy przedawali Polskę, słowami Staszica, a recytując bajki i satyrę Krasickiego skierowaną do władzy, poddałam miażdżącej krytyce obyczaje czasów stanisławowskich. Umiałam tego wiele i brzmiało to poważnie wśród nocnej ciszy.

Przyznam się jednak, że nie potrafiłam zachować ani stosownej powagi, ani refleksyjnej godności przy powtarzaniu kawałków romantycznych. Rozbawił mnie altruizm słynnej ody, a ballada dotycząca zbójów wzbudziła istną wesołość, idiotyczną zresztą, jeśli zważyć, w jakiej znajdowałam się sytuacji. Natomiast, kiedy rzucałam w padający w mroku śnieg monolog Kordiana na szczycie Mont Blanc, doszłam do przekonania, iż dopiero teraz mogę w pełni pojąć wielkość głoszonej przez bohatera idei, ba, utożsamiałam się z młodym człowiekiem, który na oblodzonej górze, w nocnej, jak sądziłam, śnieżycy dochodził sensu pięknego życia w poświęceniu dla innych. Słowem poczu-

łam się damskim Kordianem spoglądającym z wysokiej góry na marność wartości, jakie oferuje świat.

Byłam bohaterem naszych czasów. To znaczy bezwolną krową.

Następnie klepałam bezmyślnie inne wiersze i wierszyki, gdyż wytresowano mnie ongiś w tej dziedzinie szczególnie.

Zapadałam na stojąco w półdrzemki, ale broniłam się przed nie kontrolowanym wypoczynkiem w miękkim śniegu, którego nawaliło ponad pół metra. Coraz bardziej odczuwałam zimno, które zresztą trochę wzrosło nad ranem. Miałam mokre rajstopy od tych różnych wywrotów i chłód opanowywał mi uda. Czułam także wodę za kołnierzem i dreszcze w plecach.

Tak doczekałam późnego świtu. Śnieg przed brzaskiem przestał padać i stwierdziłam, niezbyt już przytomnie, że wydeptałam wokół masztu regularne koło. I że wyglądam jak nieprzyzwoicie kulisty bałwan.

Końce trzymających mnie na uwięzi sznurów Kwartalnik przywiązał na wysokości około jednego metra, licząc od dachu. Kilkanaście centymetrów niżej widać było wygięty kawał ocynkowanej blachy, o którą mogłam przeciąć sznury już na początku tej tragifarsy.

Wystarczyło tylko okrążyć trzy razy ów maszt tak, aby sznur owinął go niżej, umieścić sznury na krawędzi sterzącej w górę blachy, napiąć i niezbyt długo poruszać ciałem, aby tarły o ten swoisty nóż. W czasie owej operacji zwrócona byłam do masztu twarzą, gdyż sznury naprężyłam na talii.

Krowa oderwała się od kołka! Postanowiłam na drugi raz dobrze badać otoczenie. I wybuchnęłam śmiechem na tę osobliwą myśl, że może się zdarzyć podobna przygoda. Przetarłam również więzy na rękach.

Kasia otrzymała swój świąteczny prezent. Kwartalnik pozostawił lalkę tak, jak ją ostatnio widziałam. Nie pakowałam jej do pudła, tylko uchwyciłam zmęczoną dłoń za jej cygańską rączkę i poniosłam do windy.

Gawrów obudziłam kopaniem w drzwi.

Gdy je otworzyli, uznałam, że mogę zemdleć i natychmiast usnąć. Zrobiłam to już na korytarzu.

Wanda Gawrowa rozebrała mnie, zmierzyla temperaturę i wezwała pogotowie ratunkowe, w którym, taką miałam relację, upewniano się kilkakrotnie, czy nie chodzi o błąh przypadek świątecznego przejedzenia.

Obudziłam się w szpitalu z dobrze rozwiniętym zapaleniem płuc. W gorączce dostrzegałam kapitana Małgorzatkę, bardzo chyba ciekawego moich przygód. Gawrowie, znając moje detektywistyczne prace bez licencji, nie powiadomili milicji. Ale skwapliwy lekarz pogotowia, oceniwszy mój dziwny wygląd i część stroju, gdyż spałam w obciętej przez Kwartalnika bluzce, nie omieszkał donieść. Być może obowiązek taki wynika z przepisów.

Nie ważyłam już pięciu pudów.

IX

— Będzie pani odpowiadać z artykułu dwieście pięćdziesiątego drugiego paragraf pierwszy k. k.

Kapitan Małgorzatko zachowywał się nieprzyjemnie.

— To znaczy? — zaciekawiałam się. — Za przeziębienie czy za stosowanie w tym szpitalu baniek?

— „Kto utrudnia lub udaremnia postępowanie karne...” i tak dalej, podlega karze pozbawienia wolności do lat pięciu! — wykrzywił się, ciesząc się wyraźnie na te nalezne mi pięć lat.

Przywołałam go, aby pochylił się nad łóżkiem.

— Jeśli ma pan jakieś chody w więzienictwie, niech pan załatwi, żeby mi dali do tury moją budkę z aparatem do podnoszenia oczek. Karę odbędę w tej budce, co da mi złudzenie wolności, a koleżankom więźniarkom nareperuję wszystkie rajstopy.

Odskoczył rozeźlony.

— Poza tym — stwierdziłam — zaistniały dwie okoliczności, w których mogę odmówić zeznań. Po pierwsze: jestem umiarkująca, a wobec nieboszczyków stosuje się umorzenie. A po drugie: osoba najbliższa nie musi donosić!

Podskoczył na białym szpitalnym krześle, aż zadrżały butelki na regałach. Na czas przesłuchania bowiem wwieziono mnie do podręcznej apteki, jedyne wolne miejsce.

— Najbliższa? Kto? Może przestępca?

— Tak — powiedziałam godnie. — Na ostatnim spotkaniu, które wyznaczył mi dość niespodziewanie, wyznałam mu miłość.

W tym miejscu zamrugala oczyma jak Piggy i zapłonila się.

— Widać, że wraca pani do zdrowia — rzekł. — Ale dalsze żarty nie zaprowadzą nas do celu.

— Jestem panną — powiedziałam ostro. — I uznałam, że on potrafi kochać ogniście, więc będzie mój. A tę patologię naprawię w nim siłą mojego czystego uczucia.

— W każdym razie potwierdziła pani, iż był to przestępca Kwartalnik. Proszę opowiedzieć, co się stało krytycznej nocy.

— Normalnie — rzekłam. — Gość zmiektł pod wpływem świątecznego nastroju. Boże Narodzenie jest takie rodzinne i serdeczne, więc zaprosił mnie na wigilię. Oczywiście nie taką szampową, jak u drobnomieszczan, tylko nowoczesną. Jedliśmy, piliśmy, śpiewaliśmy kolędy.

— To ja pani opowiem, jak to przebiegło — rzekł beznamiętnie. — Z lokalu przy ulicy Kosynierów numer dwadzieścia mieszkania osiem, należącego do pani, wyszła pani w dniu dwudziestego czwartego grudnia około godziny siedemnastej dwadzieścia pięć.

— Widzi pan, jak te cholery, interesując się moim istnieniem, dokładnie wiedzą, co i kiedy robię — powiedziałam o sąsiadkach.

— Z ulicy Kosynierów do bloku przy ulicy Jana Kilińskiego numer siedemnaście, gdzie mieszkają obywatele Gawro-

wie, to jest pani przyjaciele i krewni, dotychczas nie karani...

— Niech im pan za coś wlepi, co mają być nie karani! — krzyknęłam.

— Z tej ulicy na tamtą trzeba iść pieszo, bez pośpiechu, piętnaście do dwudziestu minut, a pani lubi chodzić na piechotę.

— Wszyscy ludzie, których nie stać na samochód, lubią chodzić na piechotę.

— Wynika stąd, że przed godziną osiemnastą znalazła się pani w wymienionym bloku. Tam, albo już na dole, albo na korytarzu trzeciego piętra, zagarnął panią nie znany bliżej przestępca, grożąc użyciem brzytwy i obcięciem uszu.

— Tym razem nosa — sprostowałam. — Co tam uszy.

— Tak się zmienił? — spytał kapitan.

— Nie. On się tylko zorientował, że na nosie zależy mi bardziej niż na uchu. Bardzo ładne ucho można kupić w Pe-weksie za brzydkie waluty. A nosów w handlu nie ma.

— Stosunek płciowy odbył z panią w pomieszczeniu na dachu zwanym suszarnią, a może wcześniej na korytarzu, albo później przy maszcie.

— Niestety, nie odbył w ogóle, chociaż tak go prosiłam o jakąś czułość. Powiedział, że dopiero po naszym ślubie. A może chodziło mu o to, że od poprzedniej randki przytyłam, i to prawie o dwadzieścia dekagramów?!

— Więc nie odbył — zgodził się kapitan Małgorzatko. — W suszarni rozpakował pudło zawierające prezent od pani dla Katarzyny Gawra. Po co?

— Powiedział, że jak założymy rodzinę oraz dostaniemy spółdzielcze mieszkanie po trzydziestu latach pożywania, to zrobimy sobie taką właśnie dzidzię, jak ta lalka. Taką ładną, choć w innym kolorze.

— Brzytwą poobcinał sznury w suszarni i związał pani ręce. Jestem zdania, że z tyłu. Trzema innymi sznurami przytroczył panią najpierw do obejmy żelaznej w suszarni, następnie do antenowego masztu trochę dalej na dachu. Niewątpliwie w suszarni również zakneblował panią kawałkiem bluzki, który to kawałek odciał brzytwą. Potem z nie znanego nam powo-

du, może się pani zaczęła dusić, zmienił knebel na papierowy. Ten drugi zrobił z pierwszej, drugiej i częściowo piętnastej oraz szesnastej strony „Gazety Zielonogórskiej” z dnia dwudziestego czwartego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, wydanie świąteczne.

— Świąteczna — zauważyłam z goryczą — a niezbyt dobra w smaku. Gazety świąteczne, myślę szczególnie o Bożym Narodzeniu, powinny być robione z grzybowego suszu. Po uprzednim przeczytaniu gospodynie domowe miałyby łatwo dostępne nadzienie do uszek, które wszak niezbędne są w wigilijnym barszczu. A i dziewczyna taka jak ja w pewnych okolicznościach pożywiłaby się grzybowym periodykiem.

— Wspomniane stronicie gazety — ciągnął niewzruszony kapitan — rozmiękczyła pani śliną i wypluła.

— Część spożyłam, niszcząc dowód rzeczowy. Ale to z głodu, proszę zrozumieć.

— Przywiązana do masztu, krążyła pani, krzyczała i słyszały to trzy osoby, ale wzięły za głosy z sensacyjnego filmu w telewizji. Mogły też nie chcieć udzielić pomocy, by niczego nie ryzykować. Bo łatwo było sprawdzić, jaki szedł film. Udeptała pani masę śniegu. Z pewnością nie chciała zasnąć, bo to mogło być groźne dla życia. Chodziła pani i chodziła.

Ostatnie zdanie wypowiedział z pewnym uznaniem dla mojej dzielności.

— Jak krowa na łańcuchu — uzupełniłam.

— I to przez całą noc. W porannym świetle odkryła pani możliwość oswobodzenia się z więzów i uczyniła to, używając sterczącej przy maszcie blachy jako noża. Zabrała pani lalkę z suszarni i zjechała windą do przyjaciół.

— Nadspodziewanie wiele potraficie wywnioskować z niewielu śladów!

— Całą noc padał śnieg — zastrzegł się kapitan Małgorzatko. I wyraziście akcentując każde słowo dodał, jakbym nie rozumiała tej prawdy: — To, co z panią zrobił przestępca, kwalifikuje się jako próba morderstwa!

— Zgadza się. Mogłam tam na wieki usnąć.

— Złoży pani zeznanie, które posłuży za dowód w postępowaniu sądowym, kiedy przestępca zostanie ujęty. Uprzedzam, że za podawanie faktów niezgodnych z prawdą grozi w takich okolicznościach kara pozbawienia wolności do lat pięciu.

— Maniery pana, kapitanie, są osobliwe — zauważyłam. — Przyłaził pan do osoby chorej, przebywającej w szpitalu, być może na godzinę przed jej śmiercią, i po raz drugi grozi mamrem. Na początku pięć i teraz znów pięć. Zrobiło się dziesięć latek. I to dla kogo? Dla poszkodowanej. A co zostanie dla Kwartalnika? Może się wyczerpać cały przydział lokali więziennych, jaki posiadacie!

— To dlatego, że mam pani ostatecznie dość — zeznał szczerze kapitan. — I skorzystam z przepisów prawa, by skłonić panią do koniecznej powagi.

— Wobec tego umieram — powiedziałam słabym głosem.

— Spotkamy się w urzędzie na przesłuchaniu, gdy pani zostanie wypisana ze szpitala. Ordynator twierdzi, że za jakiś tydzień.

— Gdyby pan nie był taki oficjalny i sztywny, dogadalibyśmy się prędzej. Nie znoszę być straszona. Opowiem panu o tej nocy.

Spytał, czy może moje sprawozdanie nagrać na taśmę.

— Oczywiście — powiedziałam. — Ja daję tekst, pan muzykę. A zysk z hitu po połowie.

Gadałam ponad godzinę. Wyjawiłam fakty. Skojarzenia i domysły zostawiłam dla siebie. Zresztą władza nie życzy sobie komentarzy. Byłam trochę ciekawa, czy zespół kapitana Małgorzatki dojdzie do tych samych wniosków, które mi się nasuwały.

— Zgwałcił i obrabował ponad trzydzieści kobiet i dziewcząt — powtórzył kapitan. Wiedzieliśmy, że będzie ich więcej, ale przecież nie aż tyle. Ukrywają.

— Przedstawiłam panu racje Kwartalnika. One coś wyjaśniają.

— Przestępca nie ma racji.

— Oto podstawowa różnica w naszych poglądach — powiedziałam zajadle. — Prawa i racje to nie zawsze to samo.

Kwartalnik sądzi, iż większość kobiet aprobuje jego poczynania, podświadomie czeka na atak, traktując to jak udział w sytuacji filmowej, atrakcyjnej z punktu widzenia szarego bytowania oraz powszednich kłopotów.

— Po tym, co pani zrobił, przyjmuje pani punkt widzenia kryminalisty? Bronię jego wynaturzonych racji?!

— Nieporozumienie, panie kapitanie. Nie zachodzą racje wynaturzone czy racje przestępcze. Mogą zaistnieć jedynie racje prawdziwe oraz fałszywe, i to niezależnie od osoby, która je głosi. Słowem, nie bronię racji Kwartalnika, tylko chcę pojąć, czy są prawdziwe. I postępuję bardzo nieładnie, gdyż chcę, zrozumiawszy go, szybciej go dopaść.

— To, co robię, określa prawo i w nim jest moja racja — powiedział uroczyście kapitan, by odciąć się od rozumowania zwariowanej tłustej baby.

— Bardzo ładnie — pochwaliłam. — Kiedy aparat ucisku państwowego przestrzega prawa, jest bardzo dobrze. Niemniej jest faktem, że czasem prawa nie nadążają za prawdziwymi racjami albo nie dla nich są konstruowane. Ale to już nie ma związku z Kwartalnikiem.

— W każdym razie piątka za fałszywe zeznania — powiedział i szybko opuścił pokój, kłaniając się sztywno.

Po minucie wrócił jednak, zupełnie jak serialowy porucznik Colombo, by mi powiedzieć, że jeśli jeszcze raz będę prowokować przestępcę albo za nim węszyć, postara się o nakaz aresztowania mnie, przedkładając prokuraturze nawet fałszywe racje. Miał na myśli przymknąć na czas dłuższy.

Ze szpitala, w którym chorzy leżeli na korytarzach z braku miejsc innych, wyszłam w dwa dni później. Czułam się niesłychanie wychudzona, gdyż straciłam jedną dziesiątą swej masy, oraz słaba. Przez cały tydzień siedziałam w mieszkaniu i na okrągło pieklam różne ciasta, głównie kruche rogaliki z konfiturą, miodem i tartymi orzechami laskowymi. To znaczy, pieklam przed południem, a po obiedzie zjadałam. Chrupiąc ciasteczka, odtwarzałam wielokrotnie wszystkie wy-

darzenia związane z Kwartalnikiem oraz rozmowy z jego ofiarami. Uleżała się we mnie pewna koncepcja. Jej istotę stanowiło założenie, że jeśli nie byłaby prawdziwa, to przychwylenie Kwartalnika jest niemożliwe.

X

Do klientek moich należą kobiety różnych zawodów i o różnym stanie majątkowym. Forsiaste przynoszą rajstopy do naprawy chętniej niż biedaczki przymuszone oszczędniej gospodarować rodzinnym budżetem. Jest to historyczna prawidłowość. Postarałam się już po raz drugi wykorzystać inną prawidłowość: niepoahamowaną, niezależnie od wszelkich cenzurów, skłonność kobiet do wsadzania nosa w cudze sprawy. Powołałam w tym celu nieformalną sodalicję. Świadomie używałam tego pojęcia, aby, ewentualnie, kapitan miał problem z delikatnej sfery stosunków między państwem a Kościołem.

Ale żadnych ogłoszeń na mojej budce repasacyjnej, żadnych dokumentów. Bez dokumentów nie ma historii ani późniejszej odpowiedzialności. Sondowałam klientki tym razem bardzo ostrożnie, rozmawiając o tym i owym. Indagowałam jedynie panie po czterdziestce. Interesowały mnie osoby uprawiające zawód nauczycielski oraz związane ze sportem: były zawodniczki, aktualne trenerki, działaczki, miłośniczki fizycznego zorganizowanego wysiłku. Wciągałam je na moją niepisaną listę i proponowałam współpracę w delikatnej sprawie.

Te pierwsze prosiłam, aby pogrzebały we wspomnieniach swoich oraz koleżanek ze wszystkich szkół podstawowych. Ze wspomnień, a zwłaszcza pamięci o uczniach sprzed lat, powiedzmy dziesięciu i jeszcze dalszych, miały wydobyć pewną dziewczynkę, która, być może, nie charak-

teryzowała się niczym szczególnym prócz umiejętności zmieniania głosu.

— Udać znakomicie psa, pohukiwanie sowy, naśladować woźnego lub matematyka. W każdym razie przemawiać, najczęściej dla żartów, głosem męskim lub do niego zbliżonym. Taka zabawna mała aktoreczka. Oczywiście kakaowe. Naturalnie blondynka.

Panie od sportu w tym mieście miały rozejrzeć się za zupełnie inną dziewczynką może raczej dziewczyną z lat niedawnych albo i teraźniejszych.

— Rosła jak koszykarka lub siatkarka. I, co z tego wynika, niegruba, sprężysta, silna. Cechy szczególne: wprost niesamowita odwaga i bojowość. Ale także kłopotliwy dla innych upór, zarozumiałstwo. Z pewnością, choć nie wiadomo, nieuznanie autorytetów oraz dyscypliny. Przykra w zespole, nie dająca się podporządkować trenerce czy trenerowi. Prawdopodobnie lubiąca pieniądze. Oczywiście jak kawa z mlekiem. Naturalna blondyna, może ufarbowana na inną barwę.

Zamierzałam początkowo zaangażować w te poszukiwania kobiety uprawiające zawód fryzjerski. Przekonałam się jednak, iż brzytwa nie jest narzędziem tak staroświeckim, jak mi się zdawało. Poza tym ten szczegół odkrywał moje karty.

Nie można kobiet zapędzić do takiej dobrowolnej roboty bez odpowiedniej bajeczki, stanowiącej właściwą motywację. Ułożyłam dwie.

Nauczycielki otrzymywały taką wersję:

— Dziewczynka, ona wtedy nazywała się Iłonka Nowak, bo teraz to nie wiadomo, już w wieku lat trzech objawiła niesamowitą zdolność naśladowania głosu ojca. Nieraz wołała ze swego pokoju: „Jadźka, chodź no”, a jej matka biegła do męża sądząc, że jest przez, niego przyzywana. A robił to ten dzieciak. Mieszkałi w Rzeszowie. Więcej powiedzieć nie mogę. Krótko: Iłonkę, właśnie trzyletnią, ktoś ukradł, kiedy jej matka przymierzała sukienkę w sklepie Gallux. Same wiemy, jak to jest, kiedy cztowiek ogląda nowy ciuch. Może komuś chodziło o ten talent dziecka? Może była to jakaś bezpłodna kobieta? W każdym razie do dziś

Ilonki nie znaleziono, chociaż upłynęło około dwudziestu lat. Zrozpaczeni nadal rodzice nie rezygnują z poszukiwań córki w całej Polsce. Musimy im pomóc!

Sportsmenki wzruszałam w inny sposób:

— Taką zarozumiałą, pewną siebie dziewczynę, wracającą z jakichś zawodów w Poznaniu, poznał w pociągu pośpiesznym, tym, co przyjeżdża wieczorem, młody doktor. Nie, nie lekarz. Doktor filozofii. To było w listopadzie. On ma na imię Henryk, więcej zdradzić nie mogę. Znamy się przypadkowo. Dziewczyna taka wysportowana, niegłupia, spodobała mu się. Zakochał się tak szybko, jak jest to możliwe. Zdążył jej nawet podarować złoty pierścionek zaręczynowy swojej matki. Przedwojenny, z zielonym oczkiem, zapomniałam, z jakiego kamienia. Namietne uczucie do niej ogarnęło go tak bardzo i mocno, że nie zdążył nawet zapytać o jej imię, nazwisko oraz adres. Typowy głupol. A wysiadał, bo musiał, w Nowej Soli. Wręczył jej swoją wizytówkę, ale albo zgubiła, albo to niedobra dziewczyna. W każdym razie szuka jej. Nie chodzi mu o pierścionek, chociaż to po matce i wartość ma uczuciową. On kocha tę dziewczynę.

Najszybciej sprawiły się nauczycielki. Solennie przebadaly wszystkie szkoły w mieście. Trudno wprost uwierzyć, jak wiele dziewczynek potrafi w dzieciństwie mówić męskim głosem, albo tak się niektórym potem zdaje. Sądząc, że mają szansę przywrócić utracone dziecko nieszczęśliwym rodzicom, członkinie mojej sodalicji pogrzebały w archiwach i wydobły ze starych dzienników oraz arkuszy ocen dawne adresy owych uczennic. Z reguły adresy okazywały się aktualne, Polacy do mieszkań przywiązani są na wiek.

Potem wykonałam masę roboty. Łącznie dwa miesiące biegania po mieście z wywieszonym językiem.

Poczęły również napływać informacje od pań związanych ze sportem. Wynikało z nich, że mnóstwo dziewczyn uprawiających jakąś dyscyplinę to same krnąbrne cholery. Obejrzałam je, głównie na zawodach oraz treningach.

Tak poznałam Baśkę Orlik mówiącą basem, lecz posiadającą tak śliczną buźkę, że huczący głos nie zmarnował jej życia. Korpulentną Maryskę Gardęńską, która mogłaby zostać tenorem operowym, gdyby nie robiła w przynoszącej miliony wytwórni lizaków. Celinę Mickiewicz, nie odkrytą polską Ymę Sumac.

I nic poza tym, że znów schudłam.

W połowie marca mogłam sobie powiedzieć: nie tędy droga. Ale w dwa dni później zbliżyła się do budki Hanka ze stoiska chemicznego.

— To pewnie nie ma dla ciebie, Luśka, znaczenia, ale ci powiem na wszelki wypadek. Ja słyszę czasem, jak ty gadasz z klientkami i kogo szukasz. Moja mama przyjaźni się z Polajtisami. On jest kierowcą służbowego poloneza, ona robi w wełnie. Oboje tak pod pięćdziesiątkę. Jakies cztery czy pięć lat temu sprowadzili się z Krosna Odrzańskiego. Rozumiesz, dyrektor jakiś awansował i wziął ze sobą do województwa zaufanego kierowcę. Ta stara Polajtisowa opowiadała kiedyś mamie, a mama jak zawsze mnie, że ich córka Julka, jak jeszcze była młodsza, to jest, kiedy mieszkali w Krośnie, potrafiła dla draki naśladować głos prawie każdego aktora. Dzwoniła choćby do Domu Kultury i powiadała, że on, Daniel Olbrychski, będzie u nich o osiemnastej razem z Dziewońskim czy Kobuszewskim i oczywiście Dziewoński zaraz po Olbrychskim potwierdzał tę wiadomość, a w Domu Kultury dostawali sraczki ze strachu, kto zaprosił artystów i co robić. Potem Julia wyrosła i przeszło jej robienie kawałów. U nas, w Zielonej, nigdy się już tak podobno nie bawiła.

— A ta Julka ile ma lat i jak wygląda?

— Około dwudziestu pięciu. Wysoka, ciemna blondyna. Podobna do muskularnego chłopaka i chodzi tak jak pantera. Nazywają ją także Jolanta.

— Co porabia teraz?

— Studiuje. W tej naszej uczelni. Będzie podobno nauczycielką czegoś tam.

— Na którym roku?

— Nie wiem. Nie interesuję się. Mnie ona wisi jak bombka choinkowa.

— Widujesz ją?

— Czasem. Oni mieszkają w sąsiednim domu.

— Chodzi z chłopakiem?

— Zawsze sama.

— Z koleżankami?

— Przecież mówię: zawsze sama.

— Jaki ma kolor oczu?

— Coś ty. W oczy to chłopakom patrzę.

— A jak bywa ubrana?

— Ale wypytujesz. A wiesz, ona się ubiera tak szaro. Nawet się nie maluje. Można by powiedzieć, że jest biedna sierota. Z bliska to jednak wszystko w najlepszym, najdroższym gatunku. Uszyte jednak bez smaku. Stara szyje.

— Jak żyją ci...

— Polajtisowie. Mama mówi, że u nich w mieszkaniu to dziwnie. Niby skromnie, ale gdyby tę skromność zdrapać, to kto wie, czy byłoby skromnie. Polajtisową jednak mama lubi, robią sobie zakupy. Stara nie jest chytra.

Poprosiłam Hanke, by dowiedziała się, co studiuje owa Julia Jolanta Polajtis i na którym jest roku. Zamierzałam ją obejrzeć, całkowicie przypadkowo.

Czwarty rok pedagogiki opiekuńczej miał wspólny wykład w dużym audytorium. Tak wynikało z rozkładu jazdy przy dziekanacie. Przed salą byłam już dwadzieścia minut wcześniej, za pięć dziesiąta. Oparłam się leniwie o balustradę naprzeciw wejścia.

Nie po twarzy ją rozpoznałam, gdyż twarzy tej nie znałam. To znaczy, widziałam tę twarz w jakichś obojętnych okolicznościach. Rozpoznałam dziewczynę po ruchach ciała, po sprężystej sile niedbale demonstrowanej, po elastycznym kroku, po nie ukrywanej zresztą gotowości do działania i podejmowania szybkich decyzji. Piękne, jasnobrązowe oczy w twarzy niewłaściwej dla kobiety. Trochę za ostry nos, za wąskie usta. Gdyby ją jednak podmalować, byłaby co najmniej oryginalna.

Zobaczyła mnie, bo musiała zobaczyć. Spojrzała przelotnie i nic się w niej nie zmieniło, także w wyrazie twarzy. Patrzyła na mnie obojętnie, jak na uczelnianą palmę w drewnianym kuble. Byłam kimś zwyczajnym, bo nieznanym. W zasadzie powinnam zwracać uwagę i studenci pa-

trzyli na mnie: pięć pudów niewysokiej kobiety to nie jest rzecz zwyczajna. No i posiadam ładny, zalotny nos.

XI

Żeby chociaż Julia Jolanta Polajtis spojrziała na mnie drwiąco. Prawdę mówiąc mogła nawet podejść do mnie i powiedzieć: Masz tu, krowo, dychę i biegnij do bufetu, kup plastikową słomkę i nadmucha mi przez nią.

Nie popędziłam do kapitana Małgorzaty, aby mu zameldować o moich nieprawdopodobnych przypuszczeniach. W zamiar pojechałam w najbliższą niepracowitą sobotę do Krosna Odrzańskiego strasznym pociągiem osobowym.

Odnalazłam budynek liceum ogólnokształcącego, a w nim starego woźnego. Spytałam go, czy pamięta uczennicę Julię Polajtis.

— Bo co? — spytał ten gbur.

— Piszę artykuł o jej karierze sportowej — zaryzykowałam.

— A, pani redaktor — rzeki. — W redakcji dają dobrze jeść.

— Tak — potwierdziłam. — Codziennie podają potrawkę z duszonego woźnego szkolnego.

— Ja żyłasty — stwierdził i rozchmurył się. — A Polajtis pamiętam. Dziewczyna jak chłopak twarda. Mówili: bezwzględna dla siebie. Przed lekcjami biegi nad Odrą. Po lekcjach biegi i ćwiczenia. Nawet ciężary podnosiła. Kulą rzucała, choć do kuli za cienka. Ot, pani do kuli by się nadawała. Tylko trzeba by było słoninę w muskuły przerobić.

— A Julka w czym była najlepsza?

— Mówiłem już: biegi paniów na kilometr. Profesor od gimnastyki, pan Czapkus, powiedział: „Ona wygra mistrza Polski, ona wygra olimpiadę”. Biedny pan Czapkus. Na koszt tej Polajtis chciał na olimpiadę jechać. W kosza też grała. Mo-

gła grać jedna przeciw całej drużynie obcych. Z tą piłką jak małpa. Aż tu nagle coś w nodze chrupło. W lewej. Poreperowali, ale z mistrzowaniem koniec. Z wielkiej osoby zrobiła się zwykła dziewczyna. Potem wyjechała do Zielonej Góry. Z rodzicami.

— Lubię pana — powiedziałam z entuzjazmem. Był drobnym, żywym staruszką.

— Ja bym czasem — stwierdził z animuszem — choćby rękę pod spódnicę babie wsadził. Ale reumatyzm kręci, czujności w ręce nie mam.

W drodze powrotnej uświadomiłam sobie, że Julia Polajtis objawiła poczucie humoru. Osobiście bowiem podała mi, gdy pracowałam w swojej repasacyjnej budce, adres podejrzanego mężczyzny.

Na stacji kolejowej w Zielonej Górze zdałam sobie sprawę, że jestem bezymyślnie bezbronna, choć w domu przygotowałam chytne narzędzie na taki wypadek. Zapadł już zimowy zmrok. Mroźne powietrze powodowało, że ulice były prawie puste. Przed mój dom dostałam się tak-sówką, ale co dalej?

No cóż? Przed uregulowaniem rachunku za przejazd po prostu zasłałam. Kierowca przyłożył mi do czoła garść śniegu, a potem pomógł znaleźć się przed drzwiami mieszkania. Spocił się, niepotrzebnie zwiślał mu w ramionach.

— Do pani potrzeba dwóch naraz — powiedział szczerze.

W mieszkaniu czułam się bezpieczna. Uważam, że gdy biedna kobieta ma pod ręką solidne krzesło i może je założyć na głowę przeciwnikowi, przestaje być bezbronna.

Dosyć jednak zdenerwowana zrobiłam sobie budyń z białego sera, ryżu i pieczarek. Porcję dla trzyosobowej rodziny zjadłam sama. Potem umieściłam w torbeczce pojemnik z dezodorantem Stetson.

Uważam, że niezbyt się lękam wielu możliwych rzeczy, ale nie mogłabym znieść widoku samej siebie z poderżniętym gardłem. A wyobraźnia tworzyła taki obrzydliwy obraz. I drugi jeszcze gorszy: Luśka Nanercz bez pięknego nosa. Odcięty brzytwą, zzieleniały jak żaba Kermit,

podskakuje mój nos przed ubranym w komin Kwartalnikiem.

Na deser zrobiłam wiśniową galaretkę z orzechami włoskimi i pojadając podsumowałam detektywistyczną działalność. Dowiedziałam się, kim nieprawdopodobnie był Kwartalnik. Wiedza ta oznaczała niewiele. Nie posiadałam żadnego najmniejszego dowodu.

Zalóżmy, że prezentuję swoje rozumowanie ulubionemu kapitanowi. Jeśli go przekonam, ma on szereg możliwości. Po pierwsze, może, uzyskawszy różne akceptacje, zrobić nagłą straszliwą rewizję w charakterystycznych i wszelkich innych miejscach. Byłoby czego szukać. Przede wszystkim pewnego przyrządu, brzytwy oraz zrabowanej biżuterii. Stroju Kwartalnika. Należałoby założyć to, co jest ostoją wszelkich dochodzeń kryminalnych: przestępca popełnia jakiś błąd. Najczęściej nie niszczy lub źle ukrywa jakiś dowód. Przez głupotę lub niedopatrznie.

Gdzie bym ukrywała brzytwę? Nigdy w domu. Gdzieś po drodze. W kilku zapasowych schowkach. Na przykład wśród śmieci w tych niszach mieszczących liczniki gazowe i elektryczne. Nigdy nie dotykałabym tej brzytwy nagą dłonią, zawsze w rękawiczkach. Musiałabym zostać nakryta w momencie, gdy ją wyjmuję albo mam przy sobie. I musiano by mi wykazać, że to właśnie ta brzytwa.

Biżuterię — sklepaną na złom — po prostu bym zakopała. Oczywiście nie w swojej piwnicy i nie na swojej działce. Na ziemi cudzej lub bezpańskiej.

Uszyty z cienkiego materiału komin dałby się wetknąć za kaloryfer na korytarzu, za różne rury w piwnicy, we wszelkie śmieci.

Po drugie, kapitan mógłby zarządzić długą i skrupulatną inwigilację podejrzanego osoby. Skuteczne śledzenie jest możliwe, ale w stutysięcznym mieście, sądzę, że i w większym, nie sposób tego ukryć przez dłuższy czas. Zorientowałabym się. I przerwała działalność. Chyba że byłabym hazardystką. Może tak jest, co za szczęśliwy przypadek dla wymiaru sprawiedliwości.

A gdyby podstawiono mi wyćwiczone

w samoobronie piękne pulchne milicjantki z jasnymi włosami? Byłam zdania, iż ten chytry pomysł był już zrealizowany. Co bym zrobiła? Napadałabym wyłącznie na kobiety już przedtem poznane, ale nie z kręgu bliskich znajomych.

Liczbą bezczelnych gwałtów, których dokonał Kwartalnik przez trzy lata w mieście, gdzie bez mała wszyscy się znają, dowodziła bezspornie jego wysokiej inteligencji. Oczywiście, miał największą z przewag: szukano kogo innego.

Jeśli przeceniałam przestępcę, wszystko, co go demaskowało, można było jeszcze uczynić.

Jeśli jedyną możliwością zapudłowania Kwartalnika stanowiło schwytanie go na gorącym uczynku, mój czas nie grał roli.

Jeżeli Kwartalnik nie był tą osobą, nic nie miało znaczenia.

Wobec tego nie musiałam natychmiast śpieszyć do przedstawiciela władzy, aby mu przekazać rewelacje. Poza tym zabroniono mi prowadzenia śledztwa, więc również uzyskiwania w nim efektów. Równie dobrze mogłam kazać się zamknąć na życzenie.

Postanowiłam poczekać na kolejny ruch Kwartalnika. Przez tydzień. Potem, jeśli nic się nie zdarzy, przywdziać włosienicę, związać sznurkiem kilka nie czytanych jeszcze publikacji zawodowych, czyli z dziedziny filozofii dziur w majtkach, i udać się po nakaz aresztowania samej siebie.

W poniedziałek wstąpiłam do prokuratury rejonowej.

— Miłość na zimowym dachu — powiedział Tadek Krągajłło. — Co jest w tych kobietach, że umawiają się z bandziorami, podczas gdy uczciwi ludzie nie mają kogo pieścić?

— Myślisz o uczciwych żonatych ludziach? Oni mają swoje żonate żony.

— Z przyczyny takich obraźliwych uwag ja się przychyliłam do propozycji określonych kół związanych z władzą i wystawię nakaz przymknięcia pewnego filozofa.

— Słyszałam podczas procesu repasacji określonych rajstop od dobrze poinformo-

wanych pań, że zbrodniarz wpadł w sieci sprawiedliwości?!

— Pani Maniu — powiedział Tadek do jakiejś pani Mani w sekretariacie — proszę dwie kawy.

Taka była jego odpowiedź.

— Nie musisz żadnym grubym kobietom — powiedziałam — które, jak ci wiadomo, mają znacznie większe przestrzenie do pieszczot niż kobiety nie dożywione przez swoich mężów, nie musisz im zdradzać rzeczy urzędowych.

Żona Tadeka jest chuda jak szparag.

— Ale przecież — ciągnęłam — w zgodzie z sumieniem, tą nie istniejącą właściwością twoją, możesz odpowiedzieć dwuznacznie, jak wyrocznia delficka, na takie pytanie: czy pojawił się w związku z Kwartalnikiem jakiś dziwny element w śledztwie?

— Dziwny, fantastyczny element się pojawił nie pojawił — rzekł i mrugnął.

Rzeczywiście, w starożytnych Delfach takich udzielano odpowiedzi. W odpowiedź swoją Tadek wprowadził jednak epitet „fantastyczny”, i mogłam myśleć Bóg wie co. Cóż bowiem może powiedzieć zwykłemu człowiekowi oschły urzędnik na służbie?

XII

Wyszedł miękko zza występu w murze korytarza, w którym mieszczą się gazowe liczniki. Pięć metrów od drzwi mojego mieszkania. Komiczny w tym kominie, odważne zwierzę.

Uważam za konieczne powiedzieć, że odczułam wówczas smutek. Dlatego że, gdy zwierzę rzuca się na drugie, decyduje szybkość reakcji.

W prawej urękawiczonej dłoni trzymał zwyczajowo i fachowo brzytwę, a drugą ręką zamierzał mnie zagarnąć po raz trzeci. Sądzę, że już ostatecznie.

Jeszcze nie ukazał mi się cały, a już

miałam w górze lewą rękę z pojemnikiem pełnym dezodorantu na spirytusie. Palec cisnął na główkę pojemnika. Tym razem byłam przygotowana na atak. Już wiele razy unosiłam rękę w identyczny sposób. Zawsze, kiedy wchodziłam do mojego oraz innych domów, na pustych ulicach, wszędzie tam, gdzie mógł się nie spodziewanie znaleźć.

Pomysł użycia dezodorantu w samoobronie nasunęła mi Zochna Mimośród, gdy zaproponowała, bym wypaliła Kwartalnikowi oczy kwasem solnym. Miała to być kara za to, że oglądał jej goliznę. Kwas nie wchodził w rachubę, ale rozpylane pachnące świństwo, które wylatywało po naciśnięciu główki pojemnika na odległość ponad pół metra, tak.

Miał wspaniały refleks, pożytek z intensywnego uprawiania sportu. Natychmiast ciał mnie brzytwa, lecz piekący płyn z pojemnika już przyskał mu w oczy poprzez otwory w materiale. Dlatego nie trafił nigdzie indziej swoim narzędziem, lecz tylko w moje czoło tuż nad nosem. Leżąca się natychmiast krew zastoniła mi widoczność i nic nie pomogło, że próbowałam ją zgarnąć dłonią. Rozniosłam ją tylko po całej twarzy. Nie ściagałam oślepionego Kwartalnika w tej sytuacji. Jak daleko zresztą mógł uciec?

Po omacku otworzyłam drzwi do mojego mieszkania. Umyłam się nad wanną i opatrzyłam czoło, zalewając je pięknym hemostinem. Brzytwa Kwartalnika przecięła mi skórę, wyglądam odtąd jak przedmiejski łobuz, to wszystko. Zostawiłam w domu pokrwawione palto, ubrałam się w stary kożuszek i poszłam w stronę automatu telefonicznego, który był niedaleko usytuowany. Ale ten, jak inne dwa, był zdemolowany, jakby idioci psujący te urzędnictwa nigdy nie musieli wzywać pogotowia ratunkowego czy obrony.

Zadzwoiłam dopiero z telewizyjnego salonu, w którym zresztą nie było telewizorów. Wykręciłam numer WUSW. Zawiadomiłam dyżurnego oficera, żeby odszukał kapitana Karola Małgorzatkę, bo właśnie oślepiłam człowieka, którego kapitan ściga. Przedstawiłam się i położy-

łam słuchawkę, choć oficer miał do mnie pytania. Trzej młodzi pracownicy salonu słyszeli rozmowę i odsunęli się daleko, gdy wychodziłam. Bali się, bym nie zrobiła im krzywdy.

Kapitan zjawił się na sygnale, lecz dopiero po godzinie. Przedtem przyjechał wóz patrolowy z dwoma innymi milicjantami, którzy chcieli mnie zabrać ze sobą. Ustawiałam się bojowo z krzesłem w dłoniach. Jeden z nich odbył radiową dyskusję i dali mi spokój.

Pokazałam kapitanowi Małgorzatce pojemnik z dezodorantem Stetson, który, jak to się mówi, zabezpieczono. Tym razem oficer nie okazywał niezadowolenia ani nie straszył latami pozbawienia wolności, natomiast wypytywał bardzo rzeczowo.

— Panie kapitanie — powiedziałam mu na początek — moim zdaniem Kwartalnik nazywa się Polajtis. Polajtis Julia Jolanta. Mieszka przy ulicy Balladyny dwa-nastacie.

— Nieźle — rzekł.

— Wysoka, wysportowana dziewczyna.

— To proste — powiedział.

— Naznaczyłam ją w trakcie dokonywania przez nią przestępstwa. Mam prawo do samoobrony. Nie sądzę, by można tej dziewczynie dowieść czegokolwiek inaczej. Nie sądzę, by zrabowaną biżuterię trzymała w swojej bielizniarce. Teraz ma kłopoty z oczyma, gdziekolwiek się znajduje. Nie sądzę, by pobiegła do domu.

Dochodziła osiemnasta. Zrobiłam sobie kluski francuskie z trzech jaj, z siekaną natką pietruszki. Zjadłam je i następnie przyrządziłam takie same, również z trzech jaj. Zjadłam, wykapałam się, poprawiłam opatrunek na czole i poszłam spać.

Nie twierdzą, że to instynkt samozachowawczy ani że moja genialna intuicja. Raczej bezmyślnie nabyłam w sklepie chemicznym drugi pojemnik stetsona, skoro kapitan zabrał mi pierwszy. Wsunęłam go, jak poprzedni, w ocieplającą pochwętkę z futerka, aby przypadkiem nie zamarznął, choć nie znam się na aerozolach. Był ostry marcowy mróz, trzydzieści dwa stopnie. Kapitan Małgorzatko nie dawał znaku życia. Ani na drugi dzień, ani na trzeci. A spodziewałam się, że już ran-

kiem po wydarzeniu podjedzie pod dom towarowy opancerzony wóz, ciągnący dla mnie na przyczepie ciężkie kajdany ze staromodnymi kulami z żelaza. Poważnych rozmiarów kule szczipione łańcuchami byłyby stosowną karą za brak licencji prywatnego detektywa.

Ekspedientki w stoiskach plotkowały. Nie o mnie jednak, bo i skąd. Mówiły o Kwartalniku, który w drugi wieczór po tym, jak go oblałam dezodorantem, zgwałcił i obrabował blondyneczkę.

Wiele takich informacji tworzonych jest z przekształcenia innych wydarzeń. Oto jaka bzdura wyrosła z mojej ostatniej przygody. Tuż po południu jednak potwierdziła ten fakt należąca do mojej sodalicji detektywów Anita Tarnikowska. Anita знаła ofiarę osobiście. Poszkodowana, młoda małżonka frezera w fabryce wagonów, po odklepaniu swoich wierszyków, nakazanych przez Kwartalnika, zrobiła krzyk na pół dzielnicy.

— Jakie śmieszne bywają ludzkie dramaty, pani Lusi — wyznała Anita. — Ta babka, zamiast podciągnąć desusy i zasłonić co trzeba spódniczką, zaczęła wrzeszczeć stojąc nadal pod ścianą w holu i wystawiając na ludzki widok całą aparaturę. Ale to można pojąć. Ten złów trafił u niej prawie dwieście tysięcy, bo ona łąziła z pieniędzmi, gdyż chcieli kupić kolorowy telewizor.

— Gdzie to było?

— Na Osiedlu Wazów, przy Zamenhofs osiem. My tam mieszkamy. Ona się nazywa Beata Powrósejko.

— A jak wygląda?

— Przy kości. Ze dwadzieścia pięć lat. Sztuczna słomiana blondyna z solidnym siedzeniem. Twarz pyzata. Oczy niebieskie. Podobno takie uwielbia ten Kwartalnik.

— Kiedy?

— Wczoraj. Przed siódmą wieczór. Wracęła z miasta. Kupiła radio Klaudia za pięćdziesiąt tysięcy. Fajne, zupełnie jak japońskie. Nie zabrał jej tego radia, tylko położyła je pod ścianą, kiedy kazał podnieść ręce.

— Co mówił?

— „Morda w kubeł, dzidzia, bo ciachnę uszy”. I tyle.

— A jaki miał głos?

— Beata mówi, że skrzeczący, jak chłop, kiedy się napali.

— Dobrze go obejrzała?

— Nic go nie obejrzała. Kiedy ludzie się zlecieli, a właśnie szła gromada, to ona wyglądała, jakby nią trząsał paraliż. Po prostu chodziła z nerwów. Mówi, że wszystko było w tych nerwach. Wzięła ją za kołnierz i zobaczyła, że ma w ręce brzytwę. Dostała tej trzęsionki, nic nie widziała, nic nie słyszała, ale robiła, co kazał. Mówi, że zaczęło ją trząść, jak pomyślała, że ma przy sobie tyle pieniędzy.

Wyjaśniłam Anicie, że takie sprawy mnie okropnie podniecają i pojechałam z nią na Zamenhofs. Bo Beata była w domu, gdyż dostała tydzień zwolnienia od neurologa. Biedna kobieta nie pamiętała nic.

— Czy był wysoki? — spytałam.

— Jak słup. Ja wiem, że to nieprawda, ale on sięgał do sufitu. Ale najważniejsze, że mój chłop się nie piekli. Powiedział, że pieniąż się zarobi nowy i że stosunek był bez winy.

— A co milicja? — spytałam ogólnie.

— Pytała o wszystko. Ale co ja im mogłam? Kapitan taki jeden zły był jak osa.

— Jakim głosem mówił Kwartalnik?

— Jakim? Normalnym, jak każdy mężczyzna.

— To znaczy jakim?

— Trochę przeziębionym. Albo i nie.

— Podobał się pani ten głos?

— Myślałam o stracie, co mnie czeka.

Nie interesowało jej, dlaczego indaguje. Odpowiadała już na pytania tyłu znajomych i nieznanym osobom. Ktoś z wodogłowiem wypisał długopisem na tymku przy drzwiach do mieszkania państwa Powrósejko idiotyczną kwalifikację: „Kochanka zbroja!” Zatarłyśmy z Anitą inskrypcję, dowodzącą średniowiecznego pomysłu.

Kapitan Małgorzatko zapomniał o mnie. Nie było wyjścia, ogłosiłam pisemnie klientkom, że budka repasacyjna jest chora i z woli własnej udałam do WUSW.

Kierujący interesantami sierżant w okienku spytał mnie o nazwisko i zajrzał do jakiegoś kajetu. Następnie stwierdził, iż kapitana nie ma i nie będzie.

— A jeśli jest?

— Bywa, że nie ma jednych ludzi dla drugich ludzi — rzekł podoficer filozoficznie.

Chętnie bym go rąbnęła w okrągłą twarz, ale jest to karane specjalnie. Wyszłam z urzędu wściekła i natychmiast zaczęłam się z tej wściekłości śmiać. Dla przypatrujących mi się przechodniów musiało być jasne, że w urzędzie dba się specjalnie o dobry humor petentów.

Upłynęło jeszcze pięć dni, zanim otrzymałam wezwanie w charakterze nieśmiertelnego świadka. Kapitan Małgorzatko bez żadnych wstępów rzekł, nie zdradzając swych emocji:

— Podejrzana twierdzi, iż rzeczywiście brała udział w zajściu z panią. Dla tak zwanej draki. Lubi mocne wrażenia. Przebrała się więc tak, jak wie z opowiadań w mieście o przestępcy zwanym Kwartalnikiem. Nie miała nawet brzytwy, gdyż narzędzie to trudno obecnie kupić. Posłużyła się dobrze naostrzonym scyzorykiem, który gdzieś potem, oslepiona, wyrzuciła.

— Niegłupia dziewczucha — stwierdziłam.

— Na głowie nie miała żadnego komina, lecz papierowy rulon. Jak wygląda maska używana przez Kwartalnika, nie ma pojęcia. Nie zgadzają się więc co najmniej dwa istotne szczegóły. I nie zgadzają się trzeci, najważniejszy: ona mówi zwyczajnym, kobiecym głosem.

— Powinna się dalej tak bronić — stwierdziłam. — Nie mamy brzytwy, nie mamy komina, nie mamy stroju Kwartalnika. Prawda, że nie mamy?

— Skaleczyła panią, jeśli to w ogóle prawda, nie z własnej woli. Tym nożykiem machnęła odruchowo, bo pani ją zaatakowała jakimś gryzącym płynem, usiłując złośliwie wypalić oczy, czyli pozbawić wzroku.

— Mamy szansę siedzieć w jednej celi. Da mi wtedy szkołę.

— Żałuje swego nie przemyślanego czynu i gotowa jest ponieść za ten żart su-

rową odpowiedzialność. Rozumie, iż pani w głupocie swojej oraz bezmyślnym strachu mogła ją wziąć za osławionego rabusia i gwałciela, choć każdy rozumny człowiek natychmiast rozpoznalby w niej dziewczynę, co wykluczało pomyłkę.

Te przytoczone kawałki o głupocie i braku rozumu kapitan podkreślił mocniejszym głosem, nie kryjąc przyjemności wynikającej z powtarzania podobnych komplementów.

— Bystra i odważna dziewczyna — potwierdziłam swój osąd. — Tyle razy wywinąć się po przestępstwie. Uniknąć wykrycia. Robić to kobietom z zimną krwią prawie publicznie. Rabować. Tego nie zrobi idiotka. Zawsze miała przygotowaną tę właśnie linię obrony.

Kapitan Małgorzatko nie wyraził na ten temat swej opinii.

— Mogę pani jeszcze powiedzieć, iż nie znaleźliśmy niczego w mieszkaniu Polajtisów przy ulicy Balladyny dwanaście. Ani w piwnicy, ani na ich działce pracowniczej, na strychu domu i w garażu, w którym trzymany jest samochód kierowany przez Polajtisa. Nigdzie. Nic.

— Przede wszystkim musi się znaleźć — powiedziałam — ten przyrząd, za pomocą którego skutecznie udawała męczyznę. Ona, kiedy grała jeszcze w kosza, była z drużyną w Silkeborgu w Danii. Moim zdaniem, wtedy kupiła plastikowy narząd w jakimś sex-shope.

— Była, kupiła, schowała, zgubiła — zadrwił mamut Małgorzatko. — Gdyby komuś był potrzebny sztuczny organ męski, to może go sobie zrobić lub nabyć produkcji zachodniej na targowisku w Gdańsku Przymorzu. Pośrednicy, biorący towar od marynarzy, mają tam wszystko.

— Pojadę — obiecałam. — Kupię dwa. Jeden na prezent dla starego znajomego. Kapitan Małgorzatko w zasadzie był zawsze biały na twarzy. Niemniej stał się bielszy.

— Gdzieś musi być także schowana biżuteria z rabunków — dodałam.

— Nic, panienko. Ani płaszczka. Ani tego przebrania na głowę. Ani brzytwy. Ani ani. Obywatelka Julia Jolanta Polajtis

najwyżej odpowie za głupi dowcip urządzony historycznie. To nie moje przypuszczenie, to cytat. Bo i kto w prokuraturze, albo w sądzie, gdyby sprawa zaszła tak daleko, uwierzy, że ponad trzydzieści kobiet nie rozpoznało tego... przyrzędu, uznając go za naturalny? Kto?

Wydawał się zadowolony, chociaż była to przede wszystkim jego klęska.

— A jest jeszcze lepszy pasztet — zauważył.

— Wiem — stwierdziłam ponuro.

— W czasie, kiedy przestępca, zwany popularnie Kwartalnikiem, dokonał ostatniego aktu przemocy, Jolanta Julia Polajtis była już zatrzymana przez moich kolegów w Poznaniu, gdzie udała się w celu zasięgnięcia porady u okulisty.

— Udało się jej zwać aż do Poznania! — zagwizdałam z podziwu. — Nie została oślepią?

— Prawie została — powiedział niechętnie Małgorzatko. — W poszukiwaniach dyskretnego lekarza pomagał jej ojciec, który użył służbowego wozu. A teraz, proszę, niech pani opowiada, jak pani odkryła, że Julia Jolanta Polajtis, a nie kto inny, jest groźnym przestępcą: gwałcicielem oraz rabusiem. I żeby to miało trochę sensu!

XIII

Cały czas kiwał głową jak porcelanowy Chińczyk i może kiwał długo potem, zanim go ktoś nie wyłączył. W każdym razie, kiedy wychodziłam z tego smutnego pokoju, w którym kapitan Małgorzatko odsiadywał karę za dokuczanie mi, nadal poruszał siedliskiem swego mózgu niby automat.

— Zgadzam się na dwadzieścia pięć lat katorgi i konfiskatę mojego mienia prócz maszynki do podnoszenia oczek — powiedziałam buńczucznie na koniec moich wyjaśnień — jeżeli się mylę!

Górna część kapitana, zmieniona w wa-

hadło, nic nie rzekła. A środkowa machnęła ręką, żebym szła do diabła. Na wszelki wypadek do drzwi wycofałam się tyłem. Funkcjonariusz ma bowiem pistolet i gdyby uznał, że nie ma na mnie innej rady...

Lodowaty wiatr na ulicy przywrócił mi rozum. Rozrzutnie zatrzymałam taksówkę i kazałam się zawieźć na uczelnię.

Druga grupa czwartego roku pedagogiki opiekuńczej kończyła zajęcia za pół godziny. Odczekałam ten czas, czytając studenckie ogłoszenia na drewnianej tablicy. Jedno było piękne: „Pokocham brzydką dziewczynę. Człowiek bezdomny z I roku polonistyki”. Pojęłam, że również mogę liczyć na miłość. Po odstąpieniu chłopakowi połowy wersalki.

Zaczepiłam dziewczynę swojego gatunku: najgrubszą. Miała doskonale owalną twarz i liczyła na zainteresowanie, gdyż umalowała się na portret impresjonistyczny.

— Potrzebna mi Julka Polajtis — powiedziałam. — Mam dla niej grubszy pieniądz.

Okazała solidarne zaciekawienie, gdyż tłuściochy powinny się jednoczyć przeciwko głupiemu światu. Wyjaśniła, że Jolki od kilku dni nie ma na zajęciach. Wydeła swoje ładne usta: nie cierpiała studentki Polajtis.

— A ta tyczka grochowa Polajtis ma tu gdzieś jakiegoś amatora zylastego mięsa? — spytałam.

* — Jestem Joaska — powiedziała tłuściocha rozradowana. — Wiesz, nigdy nie widziałam Polajtis z chłopakiem.

— Normalny chłopak uwielbia dziewczyny przy kości — powiedziałam.

— Głupole! — skomentowała Joaska z gorzką wiedzą. — Rzucają się na takie kulturystki jak Polajtka. Ale jakoś nie na nią. Znam ją już czwarty rok. Nigdy z chłopakiem. Myślałyśmy, że to obojnak albo inne zwierzę. Ale ona po wierzchu ma normalnie wszystko. Robiłyśmy obserwacje w łaźni po gimnastyce.

— Lesbija?

— Tak myślałyśmy. Bo są dwie takie w pierwszej grupie. Nawet Polajtkę podrywały. Też nic. Julka, jak czasem spoj-

rzy na ładną blondynę, to tak jakby jej chciała zrobić dzieciaka. Ale to wszystko. Podobno od sportu zarastają się niektóre naturalne otwory, a ona była sportowa. Magister od wufu pamięta jej sukcesy.

— Cholera — rzekłam z zalem. — Że też ja nie jestem lesbija. Poderwałabym cię, Joasiu. A kolegówny Polajtką ma? Może one oddałyby jej tę forszę, co przyniosłam? I zaoszczędziły oglądania tego babochłopa?!

Thuściocha wyznała z ociąganiem, że wiele osób w grupie lubi Julkę Polajtis za brak chytryści. Ta niby oschła dziewczyna zawsze jest zdolna pożyczyć trochę gotówki i nigdy nie domagać się zwrotu, postawić pół litra, ciastka, pepsi, podarować ładny szalik. Niejedna wycygała od niej szalową bluzkę lub drogą szminkę. Ale jakoś nie pozwoliła się zbliżyć do siebie, by zostać bliższą koleżanką. Po wysłuchaniu kursu psychologii uznano, że Julka jest egotystką pozbawioną egoizmu.

— Słowem, przyjaciółek nie ma?

— Właśnie, przyjaciółek. Tylko uczelniczne koleżanki, ale nawet nie takie, które zaprosiłaby kiedykolwiek do domu.

— Jesteś interesującą kobietą, Joasiu — powiedziałam.

Zarumieniła się ładnie.

— Wiesz — rzekła na koniec — Polajtką albo sobie reperuje albo przerabia na lepsze to urządzenie pod brzuchem. Dziewczyny widziały ją kilka razy u Grety.

— Ty — zapytałam — a jak ona zalicza?

— Ambitna, pieprzona prymuska — stwierdziła Joasia. — Pierwsza na każdej medce. Pazerna na każdą wiedzę, jakby pedagogika była nauką!

— Jesteś sympatyczna, Joasiu — powiedziałam i uciekłam, gdyż spojrzała na mnie cielecymi oczyma z taką ilością uczuć, że mogło to ją przerobić na amatorkę dziewczyn w jej kategorii wagi.

Wsiadłam w autobus i podjechałam pod Cedet. Zasiadłam moją budkę repasacyjną i z pustą od pomysłów mózgownicą energicznie naprawiłam w tuzin rajstop. Przy następnym tuzinie poczęłam myśleć.

Najpierw o tym, że na obiad zrobię sobie jaja zapiekane z ryżem w sosie pieczarkowym. A na deser kruche ciastka cytrynowe. Potem mi się pokojarzyło to i owo. Opuściłam mój gołębnik i poszłam do Hanki ze stoiska chemicznego.

— Jest draka — oznajmiła Hanka. — Ta Julka zachorowała nagle i stary Polajtis odwiózł ją bez zezwolenia służbowym samochodem gdzieś daleko do specjalisty. Do Wrocławia albo i gdzie indziej. Chcą go za to z roboty wyrzucić. Może to przez ciebie, ty walcu drogowy?!

Nie objawiała dobrego humoru.

— Dziewczyno — powiedziałam. — Życzę wszystkim dobrego zdrowia. A Julce właśnie dużo szczęścia.

Udobruchała się.

— Mama rozpacza nad tą starą Polajtis — wyjaśniła.

— Wspomniałaś coś poprzednio o koleżankach Julki...

— Ja? Przecież mówiłam ci, grubasie, że ona nie ma koleżanek. Ani kolegów. A chłopaka to chyba ukrywa w tym małym damskim pojemniku. Czasem przychodziło nam z mamą na myśl, że ona stuknięta, świrowata. Ale inaczej nie daje się to zauważyć, tylko pod względem braku towarzystwa. Może chora na coś wstydliwego? Widziałam ją u ginekologa.

Zamyśliła się.

— Albo i ty, Luśka, rozrabiasz — stwierdziła podejrziwie... — Tak szukałaś niby jakiejś dziewczynki. A u Polajtisów zrobili rewizję. Nawet w piwnicy i na działce. Ludzie mówią, że stary nakradł części do poloneza i benzyny, bo co kierowca może ukraść? A jeśli oni szukali dokumentów tej ukradzionej dziewczynki? Julki?

— Kto szukał? — spytałam, żeby coś wymyślić.

— Nie udawaj. Tajniaki. Bardzo tajne tajniaki, bo przyjechali samochodem z napisem „Milicja”.

— Ja tamtej dziewczynki — zniżyłam głos — szukam prywatnie i po cichu. Za wiele przeszło lat, żeby ktoś inny chciał się tym szukaniem zajmować.

— Może i Polajtis zwinął jakieś opony — zgodziła się.

Widziałam jednak, że z jej nagrań już nie da się skorzystać.

Wieczorami uzbrojona w trzymany w dłoni rozpylacz dezodorantu udałam się do Anity Tarnikowskiej. Nie miała tego cudu techniki — telefonu, który się kiedyś może u nas upowszechni. Znowu użyłam taksówki. Cieszyłby Kwartalnik taki respekt. Drzwi w spółdzielczym bloku otworzył brodaty mąż Anity. Dowiedziałam się wkrótce, że ten młody człowiek jest doktorem astronomii, prowadzącym jednoosobowy interes pod nazwą: „Czyszczenie dywanów w domu klienta, usługa najwyższej jakości”.

— Lubię ciała doskonale kuliste — powiedział pogodnie, gdy mnie ujrzał. Miał wesoły brzusek osobnika niskiego wzrostu.

— Anita! — zwróciłam się do jego szczupłej, wysokiej żony. — Koniecznie muszę porozmawiać jeszcze raz z tą nieszczęsną Beatą Powrósełko.

— Spóźniłaś się — odrzekła Anita. — O jeden dzień.

— Czyżby jakaś tragedia? — nie maskowałam zaniepokojona.

— Prawie. Dziewczyna dostała hopla i mąż ją wywiózł do rodziny w Beskidy. Co wyszła na korytarz, to zaczynała krzyczeć i uciekać z wrzaskiem do mieszkania. W końcu ludzie dostali cholery od tych fałszywych alarmów.

— Trudno — mruknęłam. — Zagapiłam się za pierwszym razem. A chodzi o istotny szczegół. Może wiesz?

— Nasłuchałam się dosyć wiele — zauważyła Anita.

Podobało mi się mieszkanie rzemieślnika od usług w dywanictwie. W zasadzie nie było w nim nic prócz setek książek na prostych regałach.

— To szczegół intymny — wyjaśniłam.

— Idę więc obserwować niebo — powiedział mąż Anity. — Może wszechświat właśnie dziś rozpęknie się ostatecznie i będę świadkiem.

Wyszedł dyskretnie.

— Chodzi mi o wrażenia, Anita. Jakie ta kobieta miała wrażenia podczas przymusowego stosunku. Nie umiem sprecyzować, o co mi konkretnie chodzi. Ona prze-

cież ma erotyczne doświadczenia. Więc jak było tym razem?

— Wrażenia? — powtórzyła i jej miła twarz przybrała wyraz skupienia. — Rzekniesz mi! — wykrzyknęła. — Siedzieliśmy sobie w kuchni we trzy, bo była jeszcze okropnie ciekawa jej kuzynka. I ta kuzynka spytała, czy mimo wszystko nie było Beacie fajnie. A Beata odpowiedziała, że bała się jak zwierzę, ale to, co jej robił Kwartalnik, było śmieszne. To kuzynka zażądała od Beaty precyzyjniejszego sformułowania. Beata wyznała wtedy, iż odczuwała cały ten gwałt jak słabe drapanie. Konkretnie, powiedziała, było to tak, jakby mysz skrobała do drzwi kredensu. Trudno pojąć, co miała na myśli. Należy wziąć pod uwagę, że to prosta kobieta.

— Pomogłaś mi — powiedziałam poważnie. — Chyba nawet bardzo.

Wrócił przemarnięty mąż Anity. Stwierdził autorytatywnie, że wszechświat jeszcze trwa. A znał się na tym. Wypiliśmy po kielichu jakiegoś wermutu i podziękowałam za gościnę. Astronom sprowadził mnie na parter, gdyż mieszkali na trzecim piętrze. Na pierwszym minęła mnie nie rozpoznając młoda dziewczyna. Była sama. Pożegnałam się śpiesznie z Tarnikowskim przed domem i pognałam za nią. Dopadłam ją szybko i zagarnęłam między prawe ramię oraz przedramię długą szyję dziewczyny. Usiłowała się wyrwać z nagłym lękiem, który dodawał siły.

— Nie bój się — powiedziałam. — To tylko ja: krowa nowozelandzka!

Wycharczała coś.

— Grubsza od Makolągwy krowa z czterema cyckami. Nie pamiętasz?

Pozwoliłam jej schwytać powietrze.

— Liczyłaś mi cucuszki w wieczornym deszczu. Miałas mi pomocy dwóch łobuzów.

Znowu poluźniłam uścisk.

— Nie znam pani — wyświszczała. — Czego pani chce?!

— Kochana — powiedziałam tklawie. — Dlaczego mówisz do mnie tak brzydko? Jaka ja pani? Mów mi jak zwykle: krowa.

Zmieniłam chwyt. Trzymałam ją za koltierz jasnozielonego sztucznego futerka.

W słabym wieczornym świetle wyglądało jak świeże krowie łajno.

— Zaraz tu będą chłopaki — powiedziała zaczerpnąwszy powietrza.

— No widzisz — powiedziała z zadowoleniem. — Znamy się.

— Puść mnie, krowo! — krzyknęła odważnie.

— Twoja bezsensowna nienawiść pomogła mi w ważnej sprawie — pochwaliłam dziewczynę. W milczeniu poprowadziłam ją na przystanek autobusowy. Stałyśmy na nim prawie trzy kwadranse, zanim coś nadjechało. Zaczęła się bać. Milczenia i niewiadomej przyszłości.

— To były takie żarty — powiedziała. — Wszystko bez sensu.

Milczałam.

— Przecież nic się nie stało. To ja oberwałam w zęby.

Milczałam.

— Proszę mnie puścić! Muszę być już w domu!

Milczałam.

— Chcesz, bym cię przeprosiła? Nie doczekasz się! I nie wydam ich!

Po kwadransie powiedziała bardzo ciutko:

— Nie.

Nadjechał autobus. Odrzuciłam ją w śnieg za chodnikiem. Nie mogła wiedzieć, jak bardzo cieszyło mnie jej towarzystwo na pustym przystanku w ciemności.

XIV

Lekarz specjalista, ginekolog położnik Zbigniew Gretz przyjmował we wtorki oraz piątki od szesnastej do dziewiętnastej. Kobiety z całego miasta przedkładały go nad innych z dwu powodów. Za porady pobierał najwyższe w okolicy opłaty, co dowodziło, iż jest najlepszy. Ponadto był potęgą w szpitalu i jego prywatna pacjentka mogła tam liczyć na jakieś zainteresowanie.

Zanim wybrałam się do doktora Gretza, w Miejskiej Bibliotece w „Vademecum lekarza ogólnego” wyszukałam sobie nie tyle damskie schorzenie, ile jego objawy. Byłam nawet zdecydowana pokazać Gretzowi po raz pierwszy w życiu odpowiednie narządy, gdyby nie było innego wyjścia.

Doktor przyjmował w fikuśnym pawilonie zrobionym z modrzewia. Przypatrując się budynkowi, ślicznemu jak bungalow na kanadyjskich widokówkach, doszłam do wniosku, iż modrzewiowe są tu również szyby w oknach, komin, a nawet snujący się z niego dym. Pawilon przylegał do willi lekarza, mającej osobne wejście w przeciwpancernym ogrodzeniu.

Wnętrze oszałamiało modrzewiem, chromem, czystością oraz światłem i ciepłem. Wyobraziłam sobie Luśkę Nanercz reperującą w głównym punkcie tego pałacu potargane rajtuzy i zrobiło mi się nieprzyjemnie. W poczekalni zasuwiał kolorowy telewizor, na stoliku z drewna różanego, nie dopuszczam, aby doktor zaakceptować mógł inne, leżały barwne czasopisma w różnych językach. Powiesiłam mój biedny płaszcz na bogatym wieszaku i skromnie przysiadłam w skórzanym fotelu, gdyż była tu przede mną jeszcze jedna pacjentka, dosyć wiekowa czarnula.

W tak eleganckim lokalu nigdy nie przebywałam. Miałam szansę jako licealistka wejść do pałacu, raz w Wilanowie, a drugi na Wawelu, ale uczniowie z wycieczki szkolnej przegrali wówczas z turystami zagranicznymi i nie zmieścili się na pokojach.

W trzy minuty później na ścianie odmierzył je jasny jak słońeczko mosiężny, albo i złoty, pięknie zdobiony zegar, otworzyły się modrzewiowe, jedne z czworga, drzwi i wyszła z nich potężna, wulgarnie umalowana dziewczyna, kierując się ku wieszakowi z okryciami. Zza drzwi doszedł nas kobiecy głos:

— Siedemnasta dwadzieścia, proszę.

Poderwała się wówczas podstarzała brunetka. Zadrzały leciutko drzwi w holu i weszła kolejna kobieta. Przypuściłam, iż jest to pacjentka „Siedemnasta dwadzieścia pięć, proszę”. Bardzo dobry system

pozwalający unikać tłoku i liczenia doktorowi kasy.

Jedna wyszła, następna przyszła. Zbie-
rałam myśli, studiując estetycznie wyma-
lowany ogromnymi literami cennik usług
doktora Gretza. Z jakiegoś powodu cyfry
na tej taryfie były mniejsze.

„PORADA 1000 zł

ZABIEG 4000—6000 zł

USUNIĘCIE CIAŻY U NIERÓDKI 12 000—
—16 000 zł

USUNIĘCIE CIAŻY U WIELORÓDKI
9000—14 000 zł

DOBA POBYTU W LECZNICY 8000 zł”

Nie byłam umówiona. Zaczęłam rozglą-
dać się. Zwiedziłam WC, by stwierdzić, iż
odważyłaby się usiąść na sedesie chyba
tylko królowa brytyjska, a może i ona
przeżyłaby chwilę wątpliwości, czy można
go pobrudzić. Po tej stronie znajdowały
się jeszcze jedne drzwi. Były zamknięte
na dwa niklowane zamki i niewątpliwie
prowadziły do willi. W przeciwległej ścia-
nie podobnych wejść było cztery. Z tego
trzy zamknięte, co delikatnie wypróbo-
wałam. Czekając na swą kolejkę kobieta
smutno dumiała o swym losie, nie zwraca-
jąc na nic uwagi. Po niej jednak nie przy-
szła następna. Kiedy więc zawołano z po-
koju, weszłam.

Było tam trochę niklu, chromu i wiele
modrzewia, natomiast z pewnością nawet
jednej cząsteczki kurzu. Przy biurku, po-
chodzącym niewątpliwie z kliniki w
Schwarzwaldzie, tylko trochę lepszym, na
krześle również z tamtych okolic siedzia-
ła doktorowa Gretz.

Nie uniosła oczu spod farbowanej na
złoto i pierwszorzędnie zrobionej fryzury,
więc nie rozpoznała mnie.

— Nie jestem umówiona — powiedzia-
łam — za co przepraszam. Weszłam, nie
ma bowiem pacjentki „Siedemnasta czter-
dzieści”.

Drgnęła i szybko podniosła głowę znad
biurka. Jej zielone, trochę zbielełe oczy,
które pamiętałam z mojej budki repasa-
cyjnej, zapaliły się i stały zupełnie prze-
zrocyste. Gdybym chciała trafnie, po-
wiedzmy przed sądem złożonym z poetów,
oddać naturę tego wzroku, powiedziała-

bym, że nagle spojrzała na mnie rozwście-
czona pantera.

Doktorowa Gretz, zwykle niesłychanie
elegancka, była tu pielęgniarką u ordynu-
jącego właśnie lekarza. Spowijał ją biały
wykrochmalony uniform. Nie miała jed-
nak czepka. Ostre światło lampy, wzię-
tej chyba z latarni morskiej, demaskowało
wszystkie zmarszczki kobiety po czter-
dzieście wytrawione przez kosmetyki. Za-
uważyłam, że oddycha nadmiernie szyb-
ko.

— Mąż przyjmuje jedynie pacjentki
umówione. Umawiać należy się telefonicz-
nie. Jedyne wyjątek stanowią przypadki
z ostrymi bólami.

Mówiła oschle, nieprzyjemnie, jakbym
już okazała legitymację ubezpieczalni i li-
czyła, że to reguluje honorarium dla dok-
tora. Zachowywała się tak, że pomyśla-
łam, iż w ogóle mnie nie rozpoznaje lub
rozpoznać nie chce. Nie zamierzałam wy-
jaśniać, że to właśnie ja reperuję jej fran-
cuskie rajstopy. Postanowiłam jednak, że
przy pierwszej okazji wszyję w gacie dok-
torowej Gretz turkucia podjadka albo in-
ne jadowite zwierzę. Na razie zrobiłam
grymas z repertuaru: słodki przepraszają-
cy uśmiech.

— Tak mi przykro, że wtargnęłam. Po-
staram się o cenny czas doktora prosić
przez telefon. Do widzenia.

Gretzowa prawą dłonią położoną na po-
wierzchni biurka poruszała nerwowo
w geście kociego zakopywania zapasów
żywności. Miała ciemnofioletowe paznokcie
długie na pół kilometra.

— Chwileczkę — zawróciła mnie roz-
kazująco. — Co pani dolega?

Nie wiadomo dlaczego powiedziałam:

— Chcę usunąć. Zgwałcił mnie Kwartal-
nik.

— Ach tak — mruknęła. — I pani jest
w ciąży?

— Co zrobić? — wyszeptalam boleśnie.
Gretzowa miast udać jakieś współczucie
uśmiechnęła się ironicznie. Ponadto wy-
dawała mi się nienaturalna: była jak zwie-
rzę gotowe się na mnie rzucić i rozszar-
pać moje piękne sadełko.

— Co z okresem? — spytała.

— Właśnie, co? — powtórzyłam.

Zastanowiła się. Dosyć długo. Osądziłam, że dostrzegam w niej walkę sprzecznym uczuć. W końcu powiedziała chłodno:

— Proszę podać nazwisko oraz imię. Zgłosi się pani w następny piątek. O dwudziestej.

— O dwudziestej? — upewniłam się. — Przecież doktor przyjmuje do siódmej?!

— Poważniejsze zabiegi wykonujemy w innych porach.

Nawet uśmiechnęła się. Zimno, groźnie. Wiedziałam już swoje: do kartoteki pacjentek doktora Gretza zerknąć można jedynie w czasie przyjęć. Metalowa szuflada z kartami stała na biurku. Za plecami doktorowej ział otwór po tej szufladzie w żelaznej szafie, mieszczącej sześć takich pojemników ze stali. Każdy zamykany na solidny zamek.

Nie czekałam kolejnego piątku. Do doktorostwa Gretzów wybrałam się ponownie w najbliższy wtorek. Uzbroiłam się, oprócz pojemnika z dezodorantem, w latarkę na baterię oraz w plastikowy półlitrowy pojemnik po płynie do mycia naczyń. Napełniłam go wodą z dużą ilością kuchennej soli.

Ubrałam się inaczej niż zwykle. W stary ciemny płaszcz po ojcu. Można w nim było postawić kołnierz i ukryć twarz.

Tego dnia pacjentki napływały do lekarza z regularnością anegdotycznej kolei warszawsko-wiedeńskiej. Pozwoliłam mu zarobić około trzydziestu tysięcy, zanim zdecydowałam się na działanie. Konkretnie chodziło mi o mrok oraz o to, by nie zgromadziła się w lecznicy zbyt wielka liczba kobiet.

Między pierwszymi i drugimi drzwiami do pawilonu znajdował się rodzaj małego holu, chroniącego ciepłe powietrze przed wywianiem na zewnątrz. Nie zaobserwowałam tam nic więcej prócz stalowej puszki do łączenia przewodów elektrycznych, umieszczonej przy podłodze. Wywnioskowałam poprzednio, że energia zasilająca pawilon przedostawała się z willi właśnie tędy. W budynku mieszkalnym Gretza znajdować się też musiał licznik prądu. Moja wiedza o tych rzeczach pochodziła z młodości: dziewczyny ćwiczyły z chłopakami

pierwsze uściski, a ja uczyłam się naprawiać domowe instalacje!

Do owej stalowej puszki wcisnęłam od góry sporą ilość osolonej wody z pojemnika. Natychmiast zaiskrzyło się i w holu oraz całym pawilonie zgasło światło. Szybko przeszłam do poczekalni i trzymając się ściany przebiegłam w sam koniec, gdzie stał telewizor. Gdyby Gretzowie uruchomili jakieś dodatkowe źródło światła, zamierzałam ukryć się w jednej z dwu kabin w pobliskiej toalecie.

Usłyszałam męski, opanowany głos doktora:

— Światło zgasło. Czy wszędzie?

— Tak — potwierdziła Gretzowa. — W całej lecznicy.

— Spicie — skonstatował doktor. — Pójdę naprawić bezpieczniki w domu.

Długo gramolił się w ciemności i pobrękiwał kluczami. W końcu doszedł do drzwi łączących willę z pawilonem: Na szczęście lampa za nimi obsługiwana była przez zepsutą instalację. Niestety, Gretzowa pozostała w swoim pokoju, tak jak pacjentka w gabinecie. Tylko poczekalnia była pusta. Czekałam.

Po jakimś czasie zjawił się doktor Gretz, przyświecając sobie zapalkami, i powiedział:

— Bezpiecznik nie daje się włączyć. To jakieś stałe zwarcie w lecznicy. Telefonałem już po pogotowie elektryczne. Czy mamy w domu jakieś świeczki, Danielo?

Nie obawiałam się pogotowia. Nikt się teraz nie śpieszy do roboty. Gretzowa wyjaśniła, że w jednej z kuchennych szafek powinna znajdować się cała paczka ozdobnych świec.

— To poszukaj i przynieś — zaordynował lekarz. — A ja zamknę drzwi wejściowe na wszelki wypadek i jeszcze raz sprawdzę bezpiecznik.

Był metodyczny. Zamknął drzwi wejściowe do pawilonu na klucz. Poprosił pacjentkę siedzącą w gabinecie, by zechciała spokojnie poczekać, aż wróci z jakimś źródłem światła i przepisze leki. Dopiero potem, oświetlając małżonce drogę zapalkami, ponownie udał się z Gretzową do willi.

Zapaliłam latarkę. Dyskretnie oświetla-

jąc sobie drogę, bez hałasu wsunęłam się do pokoju z kartoteką. Stwierdziłam, że doktor Gretz ma dobry nawyk zamykania drzwi od gabinetu, w którym przyjmuje pacjentki.

Kartoteka chorych, ułożona w metalowej szufladzie, prowadzona była wzorowo. Każda nowa litera alfabetu zaczynała się od wystającej do góry przekładki. Błyskawicznie odnalazłam kartę Julii Jolanty Polajtis. Wyjęłam dokument i obejrzałam go trzykrotnie w świetle rzucanym przez latarkę.

Znalazłam tam tylko jedną wpisaną poradę z datą sprzed trzech lat. Odczytałam kulfony Gretza. Namalował trzy wyrazy: „Podejrzenie: erosio. Czysta”.

Wsunęłam kartę na miejsce i przejrzałam pobieżnie inne, szukając jedynie nazwisk.

Na koniec uczyniłam rzecz raczej odruchową. Czynność ta wynikała z ciągłego myślenia o różnych kobiecych schowkach. Wsunęłam więc rękę do pancерnej szafy w miejsce po wyjętej szufladzie. Obmaciałam otwór dokładnie. Było tam na dnie sporo wolnej przestrzeni. Pod zagięciem blachy wyczułam coś palcami, choć trochę przeskadzała skóra rękawiczki. Wydobyłam z niedowierzaniem i oświetliłam. Nie byłam zdumiona.

Zostawiłam wszystko tak, jak zastałam, i spokojnie wyszłam do poczekalni, a z niej do holu wejściowego. Gretz wprawdzie drzwi zamknął, ale klucz pozostawił w zamku.

XV

Przygotowałam małą uroczystą kolację dla jednej osoby. Mała porcja fasoli po staropolsku z surówką z cebuli i jabłek. Potem słodkie bułeczki posypane makiem i szklanka białego półsłodkiego wina grzanego z żółtkiem. Przyrządzanie zabrało

mi tak wiele czasu, że posiłek spożyłam przed północą.

Następnego dnia zameldowałam się u kapitana Małgorzatki. Jako że mógł mnie przyjąć dopiero za półtorej godziny, odsiedziałam ten czas w budce repasacyjnej. Gdy weszłam do pokoju, w którym urzędował, kapitan obejrzał mnie z wyrażoną dezaprobatą.

— Melduję posłusznie, panie kapitanie — powiedziała służbiście — że znam miejsce pobytu brzytwy Kwartalnika!

— Siadajcie — powiedział automatycznie, ale było widać, że moja informacja przyjemnie go odmieniła. Jakby poróżniony i zrobił się zupełnie sympatyczny. Rzekł jednak urzędowo i sucho:

— Nie każda brzytwa, którą gdzieś zobaczy jakaś biedna kobiecina, jest brzytwą konkretnego przestępcy.

Kapitan wyrabiał się! Gdyby tak jeszcze pod wpływem kontaktów ze mną odmłodził.

— Mam wprost idiotyczną pamięć do szczegółów, szanowny panie — poinformowałam go. — Potrafię dla przykładu rozróżnić bliźnięta jednojajowe od dwujajowych i bez trudu przychodzi mi identyfikowanie trojczków pięciojajowych od pięcioraczków dziesięciojajowych, a sam pan wie z kryminologii, jakie to trudne. A gdy idzie o brzytwy, to wówczas, gdy Kwartalnik zafundował mi tę specjalną Wigilię, zauważyłam ciemnobrązową plamę na białej rękojeści tego narzędzia, tuż przy bolcu, na którym obraca się ostrze. Nie bywa tak, że plamy zdarzają się identyczne.

— Nie bywa — potwierdził z chęcią. — Tym lepiej. Byłaby pani znakomitym świadkiem różnych zdarzeń, gdyby nie paskudny charakter...

— Więc przyznaje się pan do swego przykrego charakteru? — przerwałam. — Doprawdy, zaczynam pana lubić za szczerością.

— Nie o moim charakterze mówiliśmy — rzekł zniecierpliwiony. — Gdzie jest ta brzytwa?

— O, zaraz — powiedziała i sięgnęłam do zawieszanej na poręczy krzesła torebki. Kapitan Małgorzatko przeraził się.

Przypuścił, i było to widać na jego twarzy, że nie tylko bezmyślnie zabrałam brzytwę ze schowka, ale że także przy okazji pozacierałam, co było do zatarcia. Równie dobrze mogłam mu przynieść brzytwę kupioną u handlarza starociami. Miał mnie za świrniętą, może słuszną.

Spokojnie wyjęłam z torebki chusteczkę i smarknęłam w nią ostro, po żołniersku. Kapitan odtajał. Napisał coś na karteczce, złożył ją i wsunął pod dziurkacz na biurku. Powiedziałam uroczyście:

— Wymieniona brzytwa, podejrzana o współudział w licznych przestępstwach, w tym o odcięcie dwojga uszu kobiecych, znajduje się w blaszanej przeciwpancernej szafie, pod czwartą szufladą stanowiącą kartotekę pacjentek. Szafa zaś w pokoju przylegającym do gabinetu lekarskiego ginekologa położnika doktora Gretza.

— No cóż — rzekł kapitan, zamiast od razu wstać i przypiąć mi do bluzki jakiś ważniejszy medal. — To jest rzeczywiście sukces!

— Warto byłoby zdecydować się, czy sukces — powiedziałam. — Bo potem to się wszystko pomiesza oraz pomyli i biedna kobiecina nie będzie mogła wykazać się okolicznościami łagodzącymi podczas słynnego procesu o brak licencji detektywa!

Wtedy kapitan Małgorzatko wskazał swoim nieładnym kościstym paluchem na karteczkę pod dziurkaczem. Wstałam z krzesła, wzięłam ją i przeczytałam. Na państwowym krzesełku z powrotem usiadłam dość ciężko. Karteczka zawierała bowiem nagryzmołą niedawno przez oficera informację: „Brzytwa gdzieś u Gretzów”.

— Ale nie wiedział pan konkretnie, gdzie?

— Nie — przyznał. — To była jedynie hipoteza. Oczywiście znaleźlibyśmy brzytwę w tej szafie podczas ewentualnej rewizji. A teraz z hipotezy zrobił się pewnik i w ogóle, w tym szczegółowym przypadku, jestem pani zobowiązany. Tak bardzo zobowiązany, że nie spytam, ile przepisów prawa złamała pani podczas poszukiwań.

— Tylko przepis o elektryczności, jeśli

taki jest — wyznałam niejasno. — Więc idziecie moim tropem?

— Są trzy możliwości — rzekł. — Albo my pani tropem. Lub pani naszym. Albo też łeb w łeb.

— Trudno się nam rozmawia — stwierdziłam.

— Pani się rozwija — powiedział. — A teraz do rzeczy. W jaki sposób trafiła pani do Gretzów?

— Pan zapomniał mnie ostrzec, że wszystko, co powiem, może być użyte przeciwko mnie!

— Może — zgodził się. — Trzeba by nam jednak tego dowieść.

— Wobec tego powiem. Ja po prostu nie zwątpiłam, że Kwartałnikiem jest Julia Polajtis. A w ogóle powinnam była wcześniej wpaść na to, że przestępcą jest dziewczyna.

— Powinniśmy — sprostował kapitan. — Tropienie przestępcy nie trwałoby trzy lata.

— To prawie genialna dziewczyna — oddałam hold Polajtce.

— Ten rodzaj gwałtu wykluczał kobietę — zgodził się kapitan. — A było niepojęte, że przestępca ciągle wymykał się nam z rąk. Mężczyzna prawdopodobnie wpadłby nam w wielekroć zastawione sieci. Tylu świetnych ludzi poszukiwało go w naszym mieście. I tyle razy mówiono na odprawach i naradach: żaden mężczyzna nie mógł ująć nie zauważony. Aż wreszcie zastanowiliśmy się nad tym zdaniem: żaden mężczyzna...

— Pan chce powiedzieć, że sami doszłście do płci przestępcy? — spytałam moeno rozczarowana.

— Pytanie takie padło przed południem w dzień wigilijny, tak fatalny dla pani. Niemniej ma pani swój udział w przypuszczeniu, że, być może, szukać powinniśmy sprytniej kobiety. Nazbyt często bowiem musiałem referować pani idiotyczne zachowanie oraz postęпки przed grupą dochodzeniową, aby nie pomyśleć, że po tamtej stronie również może być dziewczyna. Przy okazji: poczynania pani uzyskały wyższą niż moja akceptację. Skoro chciała pani z własnej woli kusić zbrodniarza?!

— Do diabła! — wybuchnęłam. — Jakiego zbrodniarza? Przecież wy po pierwszych przypadkach powinniście wiedzieć, że gwałciciel nie jest mężczyzną! Mężczyzna podczas zbliżeń z damą pozostawia od kilku milionów do miliarda takich... mikroskopijnych kijanek. Dziewczynka ma to panu, dorosłemu bardzo, tłumaczyć? Ze stworzonek owych można odczytać wiele rzeczy, choćby grupę krwi siewcy!

Kapitan zaczerwienił się i nagle zbladł tak bardzo, jakby właśnie przed chwilą wyprodukował i rozstał się z dużą porcją męskich komórek piciowych. Czyżbym była aż tak podniecająca?

— Kwestia ta — powiedział odzyskawszy panowanie nad swym postępowym, naukowym światopoglądem — była najbardziej problematyczna w całym śledztwie. Tylko w trzech przypadkach udało nam się uzyskać i oddać do badań nasienie znajdujące się w...

Zawahał się, więc dokończyłam śmiało:

— ...w portmonetce.

— Tak. Tyle że pochodziło ono od trzech sprawców. Raz od dwóch i raz od jednego.

— Turlupajówna sama się pochwaliła, że miała tego dnia kontakt z dwoma chłopakami oprócz Kwartalnika. Niech pan pomyśli, kapitanie, jaka jest niesprawiedliwość społeczna: jedna ma trzech chłopów po kolei, a inna, trochę grubsza...

Mój rozmówca nie uzalił się nad niedolą niektórych kobiet.

— I nie było to nasienie tego samego mężczyzny — ciągnął z niesmakiem. — A inne poszkodowane zgłosiły się zbyt późno. Wszystko to zmusiło nas do przyjęcia hipotez: albo gwałciciel cierpi na rodzaj niemocy i rzecz ogranicza się do czynności mechanicznych, może nawet wspomaganych dłonią. Albo, lękając się zakażeń, działa w odpowiednim zabezpieczeniu przed bliskim kontaktem.

— Te nasze krajowe zabezpieczenia — rzekłam ze znawstwem — są podobno tak dziurawe, że nie chronią nawet przed gradem, i trzeba do nich wpuszczać super-takon, taki chytry klej stosowany w dętkach samochodowych.

Kapitan nie był skłonny do formułowania opinii w sprawach dętek.

— W każdym razie — pochwalił mnie — pani przypieczętowała sugestię, że gwałciciel jest płci żeńskiej.

— I trafiliście do Polajtis?

— Trafiliśmy prawie w tym samym czasie. Znów nam pani pomogła. Pani niejako potwierdzała nasze wnioski.

— W zasadzie — powiedziałam — jestem idiotką, a nie detektywem. Usprawiedliwia mnie jedynie...

Nie dokończyłam. Nie mogłam mu powiedzieć, iż nie wiem, co powinna czuć kobieta dosiadaną przez mężczyznę. Gdybym posiadała odpowiednie doświadczenie w tej mierze, już trzy lata temu wyciągnęłabym właściwe wnioski z karesów Kwartalnika, których doświadczyłam.

— No cóż — podjął. — To, co robił ze mną Kwartalnik w święta, było tak dziewczęzyskie, tak perfidnie kobiece i jednocześnie bezsensowne, że wszystko stało się jasne. Zresztą, przysłużyła się sprawie pewna dziewczyna ze wściekłą do mnie nienawiścią. Oraz druga, znawczyni miłosnych przyjemności.

Nagle uświadomiłam sobie, że milicja wcale nie przyznała mi statusu detektywa. Zaakceptowano jedynie fakt, iż chcę głupio ryzykować.

— Cholera! — powiedziałam. — Chcielibście schwytać Polajtkę na gorącym uczynku, a ja stanowiałam przynętę?

— Tego dnia, podczas którego zaatakowała panią po raz ostatni, jeszcze nie wiedzieliśmy, że to właśnie Julia Jolanta Polajtis. Dopiero w nocy przyszło potwierdzenie. Krosno Odrzańskie przypomniało nam dziewczynę umiejącą udawać głosy polskich aktorów. Po prostu przyszedł teleks. Słowem Polajtis objęta została ścisłą inwigilacją. Niemniej nie twierdzę, że przy próbie popełnienia przez nią kolejnego przestępstwa udałoby się nam ją gładko przychwycić. Działając w samoobronie również nam pani pomogła. Nie przychodzi nam do głowy, że próba osłepienia przestępczyni podjęta została z premedytacją.

— Boże, co za krętacz! — westchnęłam. — Wiedząc to wszystko straszyl mnie

pan, że aresztowany Kwartalnik nie jest Kwartalnikiem, skoro działa nadal.

— Tak — potwierdził. — A przecież miałem obowiązek zapoznawania pani z każdym naszym krokiem, bo jest pani naszym dzielnym i bystrym generałem.

— Niech mnie diabli! — krzyknęłam z podziwem. — Urządzili wam obowiązkowy kurs ironii, a pan został prymusem!

— Musimy się uczyć bez przerwy — przyznał pogodnie kapitan.

— Polajtką wzięła pod uwagę ewentualność wpadki, taka jest zmyślna — kontynuowałam przerwany wątek. — Jej nieznanemu współnikowi miał natychmiast po aresztowaniu lub innej dekonspiracji Kwartalnika uderzyć stereotypowo w jakąś kobietę. Typowe zabezpieczenie, jakie organizują sobie przestępcy, gdy trudno o inne dowody winy niż poszlakowe. Typowe, lecz skuteczne.

— Proste — przyznał kapitan.

— Ale ta inteligentna dziewczyna przesadziła w ostrożności, albo rzeczywiście nie jest w stanie tolerować żadnych bliższych ludzi w swoim otoczeniu. Byłoby nam znacznie trudniej, gdyby miała szeroki krąg znajomych, kolegów, przyjaciół. Wzięlibyśmy pod uwagę każdego z nich jako współnika i fakt, że dziewczyna była czasem u ginekologa, zostałby zlekceważony jako naturalny. Szybko stwierdziłam pustkę wokół niej. Pozostawały więc wizyty u Gretza.

— Prawidłowo — potwierdził oficer.

— Trzeba przyznać, że współnik nie prezentuje tego poziomu inteligencji co Polajtką. Zaniedbał wpisów do karty chorobowej o zmyślonych dolegliwościach Julii Jolanty. Albo nie miał wpływu na doktora Gretza, by ten wpisy czynił. Lub nie chciał, czy nie mógł, lekarza o przystęgu taką prosić. A bardzo to dobre miejsce, taka prywatna poradnia, by dziewczyna szła tam nie budząc żadnych podejrzeń, by zostawić tam co nieco, a może i wszystko, tak z ekwipunku Kwartalnika, jak łupy z rozboju.

— Bardzo dobre miejsce — zgodził się. — Albo niedobre, skoro pani je wykryła.

— Nie istnieje już na świecie nic do-

skonałego. Nic. Więc i zbrodnia. Tylko brutalność i pospolicieść. Brzytwa, coś zwyczajnie ohydneho. Dziewczyna gwałcąca kobietę, coś wulgarnego. Zamierzała jechać na olimpiadę. Może na tę w Barcelonie. Słuchać ryku kibiców coraz bardziej przypominających zwierzęta. Zwyciężyć. Stać na podium. Wziąć swój szmal. Znać. Być kimś. Znać. Mieć forszę. Ocieierać się o podziw. Spadła z podium, zanim na nim stanęła. Ale znać już musiała, przyzwyczała się do tej myśli. Musiano o niej mówić. Choćby bezimiennie. Choćby tylko w naszym miasteczku.

— To jest filozofia chyba, co tu pani opowiada. Z rodzaju głębokich i wzruszających. Czy są wzruszające filozofie? — spytał zupełnie poważnie. — A tymczasem nie zdążyła pani jeszcze zawiadomić kompetentnych organów ścigania, kto jest współnikiem przestępcy Julii Jolanty Polajtis!

— Pan żartuje! — wykrzyknęłam. — Ale to nie jest żart na poziomie.

— W ogóle nie mam poczucia humoru Tym bardziej podczas śledztwa.

— Ale wie pan, kogo działalność Kwartalnika bardzo ekscytuje?

— Są takie baby — przyznał.

— Jest tak bogata, że może kupić wszystko. Wycieczkę do Meksyku, toyotę, syberyjskie szynszyle. A kiedy człowiek może kupić wszystko, nie ma to dla niego wartości, przestaje być przedmiotem pragnień. Potrzebne są inne podniety. Gdyby podzielała powszechne upodobania, kupowałaby sobie chłopców, prawdopodobnie bandziorów z brzytwami. Ale że jest lesbiją, skłoniła się ku Julii Polajtis. Nie rozumiem tylko, dlaczego tolerowała uprawiany przez Polajtkę rozbój. Bez trudu mogła przecież opłacić Kwartalnika z pieniędzy męża. Chyba że nie ma do nich dostępu.

— O kim pani jest łaskawa napomykać?

— O starzejącej się babie, którą wybryki Polajtki podniecały, o Danieli Gretz. To ona, jako asystentka męża, ma klucze do owej szafy pancernej. Ona pomaga Julce przechowywać używane podczas przestępstw utensylia. Ona prawdopodobnie wybierała ofiary. Wszystkie znane mi

kobiety, które załatwił Kwartalnik, z wyjątkiem mnie, ale mnie przydarzyło się to na początku całej historii, figurują jako pacjentki w kartotece Gretza. Moim zdaniem u Gretzów znajdzie pan nie tylko tę brzytwę, choć ona już pewnie wystarczy. Chyba pan wie, co należy robić?

— Chyba wiem — odpowiedział nie stropiony kapitan Karol Małgorzatkan.

XVI

Każdą zakończoną sprawę koronować powinienem dobrym obiadem.

Menu układałam przez całe osiem godzin, które odsiedziałam z niewielkimi przerwami, reperując z pasją olbrzymią liczbę rajstop, a także pończoch, które nadal są w modzie u starszych pań. Krótkie przerwy służyły wypadom do okolicznych sklepów spożywczych i straganów.

Obiad miał być specjalny. Dla Luśki Nanercz, wyłącznie dla niej.

Więc zupa bananowa. Na dwa banany w prywatnym kiosku wydałam prawie cały dzienny zarobek. A jeszcze potrzebne były do zupy kluseczki z dwóch żółtek, pół pojemniczka śmietany, egzotyczne przyprawy oraz polskie zioła.

Na drugie danie zapiekane w sosie pieczarki. Sos cebulowy z bazylią oraz siekaną nacią zielonej pietruszki.

Potem faworki i poncz.

Zwijałam się. Obiad wyznaczyłam na godzinę dwudziestą. Na co dzień jadłam w kuchni, teraz jednak przygotowałam świąteczny stół w pokoju. Gruby biały obrus, gałązka cieplarnianego białego bzu w wazoniku. Przedwiosenny kwiat wśród zastawy to znakomita przyprawa do uroczystego obiadu.

Niosłam właśnie parującą zupę w niewielkiej zdobionej motywami roślinnymi wazie, gdy ktoś zadzwonił u drzwi. Jest

zapisane, pomyślałam, że nie sama spożyję ten zasłużony posiłek.

Spojrzałam przez wizjer. Pyszna zdrowa twarz sympatycznej nieznannej blondynki. Słoneczne włosy w licznych świderkowatych lokach. Wesoły uśmiech na ładnych ustach.

Uchyliłam drzwi. Żyję samotnie, więc chroni mnie łańcuch przed niepożądanym wtargnięciem. Kobieta była starsza, niż oglądana przez wizjer. Nie dobiegała jednak trzydziestki. Niewysoka, o dosyć pełnych kształtach. Takie uwielbiał Kwartalnik. Spytała, czy jestem Lusią Nanercz. Przyznałam się do tego faktu.

— Wioletta Wiśniewska — przedstawiła się z dziewczęcym dygiem. — Przyszedłam w sprawie bardzo osobistej. Czy pani jest sama?

Przyznałam się jak dziecko i do tego faktu.

— Ja... — zająknęła się — ...w sprawie Kwartalnika.

Uśmiechała się, lecz była spięta. Wzięłam to za zawstydzenie. Zdjęłam łańcuch z drzwi i wpuściłam ją. Stała niezdecydowana w małym korytarzyku.

— Czy naprawdę jesteśmy same? — spytała cicho i nieśmiało.

— Tak — potwierdziłam. — Nikt nas nie podsłucha.

Postanowiłam poczęstować ją moją zupą bananową. Nie dlatego, że zupy wyszło więcej, lecz dla ośmielenia gościa. Mimo prawie wiosennej pogody tego dnia ubrana była w raczej ciepły płaszcz. Pomogłam jej zdjąć to okrycie. Pachniała lekko czymś, co kojarzyło się ze spirytusem, lecz nie było perfumami. I taka jakos wzorowo czysta. Jakby myśla się za dwie kobiety.

— Zje pani ze mną zupę bananową — powiedziałam. — Tylko proszę nie protestować.

I zaprowadziłam ją do pokoju. Szła bez szelestu w cichobieżnych adidasach. Na skrawku krzesła usiadła jak zahukane dziewczętko. Udałam się do kuchni po drugi głęboki talerz. Odczułam niepokój, gdy sięgałam do wysoko zawieszanej szafki. Obejrzałam się. Wioletta stała w drzwiach kuchenki. Powiedziała z prośbą:

— Chciałabym umyć ręce.

Wskazałam jej łazienkę i czysty ręcznik. Przyszło mi do głowy, że w taki jak ona sposób sprawdziłabym w potrzebie, czy w mieszkaniu nie ma innych osób. Gdyby sprawa Kwartalnika nie była zamknięta, nie płatałaby mi się po mieszkaniu żadna nieznana Wioletta.

Z jakiejś przyczyny wlaża mi do głowy Julia Jolanta Polajtis. W jej problemie nie umiałam do końca rozstrzygnąć tylko jednego: w jakim rzeczywiście celu odbywała ten sztuczny i ryzykowny stosunek? Bo motywy rozboju są zawsze jasne. Podobnie gwałtu naturalnego. Stanowi on przyjemność lub jest wyładowaniem agresji, często jednym i drugim. Ale kobieta czyniąca to na męski sposób? Nie przekazująca żadnych wrażeń protezą? Aby zasugerować, kim jest? Napadnięte i tak twierdziłyby przecież, że ograbił je mężczyzna. Bandytami są zawsze mężczyźni, jednostki, których rozwój psychiczny zatrzymał się w okresie chłopięcości, którzy chcą się nadal bawić i niszczyć. Zagadnień seksualnych nie studiowałam głęboko nigdy, prócz ich aspektu moralnego, zwłaszcza u sceptyków. Taki Sextus Empirikus twierdzi, iż wszystko, co sprawia przyjemność, jest dobre, w tym fizyczne kontakty z matką. Przyszło mi na myśl, że Daniela Gretz, jeśli kocha Polajtkę, nie powinna jej pozwolić na zbliżenia z innymi kobietami w żaden sposób. Zakochane kobiety nie godzą się na zdradę swych partnerów. Nawet, jeśli Julce chodziło tylko o rozgłos. Doktorowa nie powinna jej na to zezwalać! Zrozumiałam, jak mało wiem o takich sprawach. Mam bogaty zbiór książek kucharskich oprócz, oczywiście, biblioteki filozoficznej. Postanowiłam założyć dział książek traktujących rzetelnie o seksie.

Wśród tych rozważań, dokonanych w czasie sięgania po talerz do szafki, uświadomiłam sobie, że Wioletta Wiśniewska nie zdjęła dotychczas rękawiczek. W rękawiczkach na dłoniach weszła do łazienki. W skórzanych, brązowych, opinających dokładnie dłonie. Oczywiście mogło to znaczyć tylko tyle, że cierpi na chorobę skórą lub ubabrała dłonie w jakimś nie-

zmywalnym obrzydlistwie, na przykład w świeżych łupinach włoskich orzechów. W zielonych łupinach w kwietniu?

Zaniosłam talerz do pokoju i trochę zmieniłam układ zastawy na stole. Dostałam do niego drugie krzesło. Wioletta Wiśniewska wróciła z łazienki nadal w rękawiczkach. Ponadto trzymała w prawej dłoni błyszczący przedmiot. Ten przedmiot dostrzegłam, gdy znajdowała się już blisko mnie.

Zdażyłam zauważyć, że nie jest to brzytwa, lecz narzędzie bardziej kobiece: średniej długości nożyczki. Kobieta znajdowała się w pędzie i niewiele mogłam uczynić. Niemniej ułamek sekundy wystarczył, bym przesunęła w bok mój kark, znajdujący się na głównej linii uderzenia. Zamierzała dziabnąć mnie z tyłu złożonymi ostrzami, uderzyć w podstawę czaszki i pozbawić kobiety w Zielonej Górze szansy szybkiej oraz dokładnej naprawy rajstop.

Ostrza rozorały mi skórę, mięsień i sądelko nad lewym obojczykiem. Kawaleczki tkanek i krew wymieszały się z wełną sweterka i materiałem z ramiączka halki. Odczułam nagły, piekący ból. Cios jednocześnie pchnął mnie do przodu i twarzą zaryłam w wazie z bananową zupą.

Zupa bananowa, podobnie jak niektóre owocowe, nie może być gorąca, dlatego osobliwy z nią kontakt nie spowodował oparzenia. Trochę później kilka razy automatycznie obliżałam wargi. Jestem zdania, że zupa w tym dniu udała mi się wyjątkowo.

Trzeba przyznać, że kiedy kobiety ogarnie żądza mordy, uderzają z furją, więc szybko oraz mocno, ale dosyć bezmyślnie. Wioletta mogła mnie zabić nawet po pierwszym nieudanym ciosie. Trzymałam przecież przez jakiś czas głowę w potłuczonej wazie, a twarz oblepiała mi zupa. Nie mogłam się bronić. Na jej miejscu trzasnęłabym powaloną przeciwniczkę byle czym, co znajdowało się pod ręką: widelcem, krzesłem, stojącą lampą i w zupełnym spokoju dokończyłabym nożyczkowania ofiary. Gdybym jednak była nią, nie byłabym sobą. Tymczasem Wioletta

Wiśniewska sporo czasu, powiedzmy że cztery cenne sekundy, poświęciła wydobyciu z mojego sweterka zaplątanych tam po uderzeniu nożyczek. Narzędzie niewątpliwie po zetknięciu się z moim ubraniem oraz ciałem rozchyliło się i zaklinało w spłotach wełny oraz materiale ramiączka. Tej babie nie przyszło jednak do głowy, by odstąpić od wybranego narzędzia mordu. Może lubiła je szczególnie i była doń bardzo od dzieciństwa przywiązana?

Pozwoliła sobie nawet na zachowanie bardzo nieestosowne. Uchwyciła bowiem rękę w obie dłonie, a kolanem zaparła się w moim pośladku. I poczęła ciągnąć. W tym samym momencie zboleła, przerażona i niewidoma podniosłam się z całą mocą strachu. Morderczyni zdołała właśnie wyrwać ze mnie nożyczki. Dwie działające teraz siły dodały się i Wioletta poleciała plecami w regał, na którym trzymam klasyków myśli filozoficznej średniowiecza. Posypały się książki, usłyszałam charakterystyczny hałas. Mój zmysł tak bardzo chciał nadal istnieć, że notował i analizował bardzo szybko wszelkie wrażenia.

Zdążyłam wyprostować się, odwrócić twarzą do przeciwniczki oraz rękawem sweterka otrzeć zalane zupą oczy. Wioletta już pozbiierała się i szarżowała na mnie z trzymanymi poziomo nożyczkami w prawej dłoni. Odkoczyłam, jakbym była drobną baletnicą, a nie pięciopudową pięknoscią. Przeszła z prawej strony i ostrzem rozerwała mi skórę na szyi. Znów z tępym uporem pragnęła oddzielić mi głowę od tułowia, a przynajmniej głęboko wbić nożyczki w gardło. Zrozumiałam, że przede wszystkim chciała pozbawić mnie możliwości głośnego protestu przed takim postępowaniem. Natychmiast rozdarłam się w niezbyt artykułowanym krzyku.

Wioletta, jak rasowy toreador mordujący spasionego byczka, szła na mnie po raz trzeci. Tym razem z zamiarem utopienia nożyczek w moim brzuchu, w który tak łatwo trafić. Odwróciłam się ku niej, aby widzieć swoją obrzydliwą śmierć.

Nie patrzyłam więc w lewo, gdzie stały otworem drzwi do pokoju.

Mordercze ramię kobiety zgruchotał nagle strzał z pistoletu. Strzelał młody człowiek, który zjawił się nagle na progu. W żaden inny sposób nie mógłby przeszkodzić furiatce w przedziurawieniu mojego ukochanego brzuszka.

Kiedy Wioletta Wiśniewska, czy jak jej tam, zadawała mi drugą ranę, milicjant w cywilu impetem swojego ciała wybijał już drzwi wejściowe do mojego mieszkania. Więc nie krzyk mój wywołał interwencję. Nędzna zapora z płyty pilśniowej ustąpiła natychmiast.

Napastniczka nie straciła przytomności. Ramię jej zwisło, nożyczki upadły na podłogę, z rany wypływała krew. Zapomniałam, że również krwawię, i patrzyłam zafascynowana, jak barwi się błękitna, rozerwana wystrzałem jej ładna bluzeczka.

Milicjant przez nadajnik radiowy wezwał pomoc oraz pogotowie ratunkowe. Wioletta usiadła w fotelu i lewą dłonią próbowała zatamować płynącą z rany krew. Użyła do tego jednej z moich śnieżnie białych serwetek. Milicjant próbował mnie opatrzyć.

— Cholera — powiedziałam. — Jak to dobrze, że pan akurat przechodził pod moimi drzwiami.

Był to młody człowiek ubrany w dżinsy i takąż kurteczkę, bardzo już wytartą.

— Tak jakoś, kurczę — odrzekł — chodzimy za panią od niejakiego czasu.

Gdy w ambulatorium pomocy doraźnej chirurg zeszywał uszkodzenia na mej korpułentności, zrozumiałam nagle, iż kapitan Małgorzatko, działając przez wyznaczonego do pilnowania mnie milicjanta, uratował mi życie.

XVII

— Przyniósł pan licencję?

— To jest piegza. Ten ptaszek z białym brzuszkiem — powiedział kapitan

wskazując na ścieżkę. — A w krzaczku siedzi szczygieł. Jeśli to samczyk, zaraz zaśpiewa. Czy pani wie, dlaczego będzie się wydierał?

— Chce pan wprowadzić temat nieprzyzwoity, o samczykach i samiczkach — stwierdziłam oschle. — Zamierza pan rzeczą taką omawiać publicznie? Z panią?

Siedzieliśmy na ławeczce niedaleko ulicy Botanicznej. Był prawie ciepły dzień kwietniowy. Z krzewu kwitnącej żółto forsyji wyleciał ptaszek w karmazynowej czapce.

— Proszę wybaczyć — rzekł kapitan. — Zaproponowałam pani spotkanie tutaj, gdyż miałam właśnie chwilę czasu, a ciągnie mnie do lasów i pól. Mam chłopski rodowód i on się na wiosnę odzywa. Pani nie oponowała, gdy wpadłem na taki pomysł.

— Jest mi obojętne miejsce, w którym zostanie wręczona licencja. Może się to odbyć w obecności piegż oraz szczygłów.

— No cóż — odrzekł. — Myśleliśmy o licencji dla pani. Nawet w złożonych ramkach. Detektyw amator, który bezmyślnie wpuszcza do swojego mieszkania zabójczynię i prawie daje się wykończyć nożyczkami, zasługuje na status zawodowca. A biorąc pod uwagę, że detektyw ten ukrywa się przed napastnikiem w zupie bananowej, to znaczy chowa w niej twarz, wystawiając swą drobną resztę na atak, mieliśmy zamiar dodać do licencji order. Niemniej honory te zostaną wstrzymane do pewnego czasu.

— Wiem — odpowiedziałam gorzko — do jakiego czasu.

— Liczyliśmy na to, że się pani domyśli — potwierdził skwapliwie kapitan. — Więc gdyby pani zechciała łaskawie poczekać, aż to się stanie...

— To znaczy do momentu, aż zmądrzeję?

— Jeżeli jest to możliwe — zgodził się grzecznie.

— Kiedy jednak zmądrzeję, przestanę dopominać się o licencję.

— I o to chodzi — potwierdził cicho.

— Niech się pan nie martwi — pocieszyłam go. — Prosiłam dziś o spotkanie

nie po to, aby coś dostać, lecz aby podziękować. W imieniu wielu klientek punktu repasacyjnego. Za umożliwienie repasatorce prowadzenia nadal tego interesu. Aby bowiem firma ta mogła działać, potrzebna jest żywa Luśka Nanercz. Pozwoli pan swoją dłoń, ucałuję ją!

Próbowałam schwytać go za rękę, ale wyrwał mi ją. Zamierzałam tylko uściśnąć ją po męsku, ale kapitan Małgorzatkę podejrzewał mnie o każde szaleństwo.

— Nie zapraszałam na tę ławeczkę — powiedziała szorstko. — Zapraszałam na dziś wieczór do najdroższej w tej miejscinie knajpy. W programie był szampan, homar nadziewany kawiozem, melodia „Kapitańskie tango”, którą zamówiłam u klezmerów, oraz striptiz.

— Czyj striptiz? — zaciekał się.

— Mój — stwierdziłam twardo. — Powinien pan zobaczyć, jakiej uroczej kobiecie uratował pan życie. Pięć pudów barokowego piękna. Przekupiłam w tym celu kierownika lokalu i zobowiązałam się pokryć straty, gdyby goście nagle zaczęli uciekać przewracając stoliki.

— Gdybym wiedział — rzekł kapitan.

— Nic straconego. Dziś wieczór.

— Wystarczy, że sobie tutaj chwilę porozmawiamy — zamknął sprawę, jakby się bał, że wylezę goła przed knajpią orkiestrę.

— Ta Wioletta Wiśniewska... — zaczęłam.

— Ona się nazywa Maria Kostrzewska — sprostował.

— Więc ta Wioletta Maria Wiśniewska Kostrzewska rzeczywiście skompromitowała detektywa Luśkę. Wydało mi się oczywiście, że doktorowa Gretz jest asystentką swego męża. Pilnuje forsy, pomyślałam. A jest taka chytra, że jednocześnie uczestniczy w dochodach z rabunków dokonywanych przez Kwartalnika. Oślepiła mnie niechęć do takich bogatych wszy, które teraz korzystają z sytuacji i łupią chorych ludzi. Najbardziej zmylił mnie fakt, iż asystowała mężowi także, kiedy zajrzałam tam po raz drugi. Nie przyszło mi do głowy, iż prawdziwa asystentka, pielęgniarka Maria Wioletta, po areszto-

waniu Julii Polajtis mogła wpaść w panikę i na pewien czas wybyć. I że ktoś musiał ją wówczas zastąpić. Bo lecznica działała.

— A jednak fakt, że aresztowaliśmy Marię Kostrzewską podczas próby dokonania zabójstwa pani — powiedział kapitan Małgorzatko — pozwolił definitywnie nie tyle zakończyć śledztwo, ile zdobyć wszelkie dowody przeciwko Julii Polajtis. Ta ranna wściekła kobieta wyśpiewała wszystko, aby obciążyć współniczkę. Proszę jednak nie sądzić, iż w tym wypadku czekaliśmy, aż pielęgniarka Gretza przyjdzie zrobić pani krzywdę. Ochronę daliśmy pani na wszelki wypadek i do czasu, póki nie schwytemy Marii Kostrzewskiej, która dobrze się schowała. Nie przypuszczałem zresztą, że właśnie ona będzie szukać odwetu na pani. Niemniej nigdy diabeł nie śpi.

— I nie spał — zgodziłam się. — Pan, zdaje się, twierdzi, że życie zawdzięczam nie pana geniuszowi, lecz rutynie.

— Nie jestem geniuszem — zgodził się skromnie.

— Gdzie był przechowywany płaszcz Kwartalnika i ten komin na głowę?

— Komin był w kieszeni płaszcza. A płaszcz w budzie psów doktora Gretza.

— Chytre.

— Chytre — potwierdził. — Ów natomiast przyrząd, dzięki któremu kobieta może dosyć przekonująco udawać mężczyznę, posuwając się do gwałtu włącznie, należał do doktora Gretza i był używany bez jego wiedzy i woli. Doktor poleca takie rzeczy niektórym samotnym kobietom. Ma tych zabawek o wiele więcej, co nie jest niedozwolone.

— Cholera — powiedziałam. — Gdybym nadawała się na detektywa, powinienam była zgłosić się do Gretza z prośbą o taki podobny instrumencik. Ostatecznie jestem kobietą samotną.

Małgorzatko zaczerwienił się. Nie jest nowoczesny.

— A zrabowane kosztowności? — spytałam.

— Nie zgadnie pani. Maria Kostrzew-

ska sklepywała je jak kowal młoteczkiem i sprzedawała. Tu, na miejscu. Nie powiem, kto na tym również bardzo zarabiał.

— Spróbuję zgadnąć i naprawić swoją reputację.

— O — powiedział. — No, do trzech razy sztuka.

— Do jednego razu. Szanowny Szymon Turlupaj. Odkupił nawet, w tym wypadku oprócz kamyków, które mógłby rozpoznać, zniszczone precjoza swojej córki obcojęzycznej i sympatycznej.

— Kto wie — rzekł kapitan — czy rzeczywiście nie należy się pani licencja.

— Szefową w tej okropnej spółce była Kostrzewska?

— Tak — potwierdził oficer.

— To wiem wszystko — powiedziałam zarozumiale. — Julkę Polajtis wyhodowano na mężczyznę. Ten damski mężczyzna zakochał się namiętnie w ulubionym przez siebie typie kobiety, w pulchnej blondynce Marii Kostrzewskiej. Stało się to prawdopodobnie podczas pierwszej wizyty w lecznicy Gretza, gdy Polajtką posądzano o pewną kobiecą dolegliwość. Trzy lata temu. Maria Kostrzewska trafnie osądziła siłę namiętności lesbijskiej. Uległa Polajtkę, rozwinęła w niej mocne pożądanie, a potem zażądała stosownych opłat za miłość. Żyjemy w czasach ekonomicznych. Dla wysportowanej, zdrowej i silnej dziewczyny, która już uprzednio rozwinęła w sobie nienaturalną ambicję oraz wielką odwagę, nie było barier. Rozbój wydał się najłatwiejszym sposobem zdobywania środków na opłacanie kochanki. Miłujący pragną, by ich szczęście trwało długo. Dlatego należało skutecznie wprowadzać w pole prowadzących śledztwo w sprawie rabunków. Stąd pomysł gwałtów na delikwentkach. Niech sprawiedliwość poszukuje sobie mężczyzny, okropnego zbrojnika z męską brzytwą. Być może protezy doktora Gretza, tak łatwe do wypożyczenia, miały wpływ na ów pomysł. Z drugiej jednak strony Polajtką mogła, kochając, nienawidzić partnerki. Za zrobienie z niej kryminalistki, za brak miłości bezinteresownej. Dlatego

gwałcą kobiety mściła się jednocześnie na Marii Kostrzewskiej. Były przecież takie podobne do kochanki: pulchne, ładne blondynki, podczas aktu bez twarzy. Być może dokonując czynu zażywała nienaturalnych przyjemności. W każdym razie i ona była ofiarą. Ofiarą kobiety nast-

wionej nie na namiętność i miłość, tylko na zysk.

— Cholera — zaklął kapitan Małgorzatko. — Zgadza się!

Jestem pewna, że sprawa licencji prywatnego detektywa dla mnie została wreszcie przesądzona.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



Wszedł miękko zza występu w murze korytarza, w którym mieszczą się gazowe liczniki. Pięć metrów od drzwi mojego mieszkania. Komiczny w tym kominie, odważne zwierzę.

Uważam za konieczne powiedzieć, że odczułam wówczas smutek. Dlatego że, gdy zwierzę rzuca się na drugie, decyduje szybkość reakcji.

W prawej urękawiczonej dłoni trzymał zwycięzajowo i fachowo brzytwę, a drugą ręką zamierzał mnie zagarnąć po raz trzeci. Sądzę, że już ostatecznie.

Jeszcze nie ukazał mi się cały, a już miałam w górze lewą rękę z pojemnikiem pełnym dezodorantu na spirytusie. Palec cisnął na główkę pojemnika. Tym razem byłam przygotowana na atak. Już wiele razy unosiłam rękę w identyczny sposób. Zawsze, kiedy wchodziłam do mojego oraz innych domów, na pustych ulicach, wszędzie tam, gdzie mógł się niespodziewanie znaleźć. [...]

Miał wspaniały refleks, pożytek z intensywnego uprawiania sportu. Natychmiast ciał mnie brzytwą, lecz piekący plyn z pojemnika już przyskał mu w oczy poprzez otwory w materiale. Dlatego nie trafił nigdzie indziej swoim narzędziem, lecz tylko w moje czoło tuż nad nosem. Lejąca się natychmiast krew zasloniła mi widoczność i nie nie pomogło, że próbowałam ją zgarnąć dłonią. Rozniosłam ją tylko po całej twarzy.

ISBN 83-207-1079-0

Cena zł 120 —,